

...© GENERALE
\$MIGŁYM





Baczność! Naczelny Wódz mówi.



„Musimy być państwem silnem, potężnem. Musimy nadrobić to, co zostało zaniedbane w ciągu długich lat niewoli!...” (Maj 1936 r., Katowice).

OPOWIEŚCI

ŻOŁNIERSKIE
O
GENERALE
ŚMIGŁYM

N A P I S A Ł
ROMAN ZAWADA

*Kolekcja
Emila Kornasia*

W A R S Z A W A 1 9 3 6

GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA



CM KEK

320727

Okładka pomysłu autora

Kolekcja
Książki Komunisty

Drukiem Zakładów Graficznych „Biblioteka Polska” w Bydgoszczy
Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. K1 nr 240 /2012/ CM

Pierwszym Wodzem Naczelnym wojska polskiego był Marszałek Józef Piłsudski. On to wojsko stworzył i w wojnie, siłą zbrojną pokonawszy wrogów, którzy na nas napadli, Rzeczpospolitą Polską w granicach dzisiejszych ustanowił.

Umierając, Marszałek Piłsudski powierzył wojsko — rzecz najcenniejszą w tej Rzeczypospolitej —

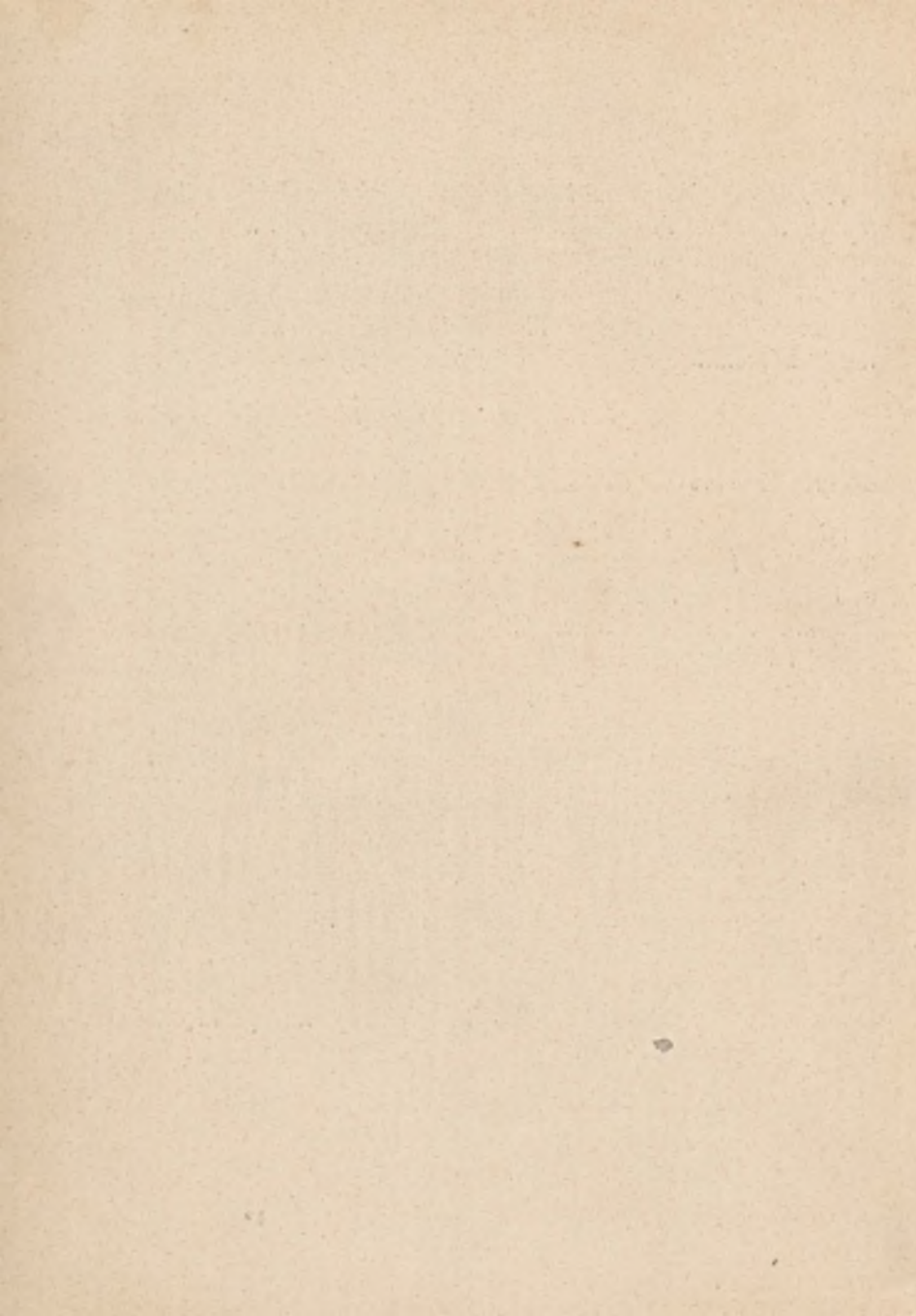
generałowi dywizji

Śmigłemu-Rydzowi Edwardowi.

Nie wszyscy młodzi żołnierze, ci, co teraz „pracują w pokoju i pewności życia Ojczyzny“, wiedzą dobrze, co i gdzie uczynił nasz nowy Wódz Naczelnny. Nie wszyscy rozumieją, że jest On właśnie jednym z tych, „co ongiś słabej i wołającej o ratunek Ojczyźnie dali moc i trwałość życia“.

W tej książce zebrane są opowieści starych żołnierzy, którzy mieli honor służyć pod generałem Śmigłym-Rydzem w wojnach i którzy widzieli na polach boju Jego męstwo i pracę.

Pogwarki ich o sprawach i czynach dzisiejszego Wodza Naczelnego wiernie tu są spisane, w dobrym porządku, ku nauce i wiadomości młodzieńców. Są one ciekawe, mówią o tem, jak wiele może dokonać wielki Wódz, jak dla wielkiego Wodza żołnierz jest na wszystko gotów i jak wspólna praca Wodza i żołnierzy nawet klęski w zwycięstwo zamienia.



W ZARANIU.

„Żelazne teraz czyny — w duchu Pana
I prace wielkie mieczem dokonane opowieść...”

J. Słowacki.

Przed pół wiekiem, pewien ubogi student medycyny, postanowił wypowiedzieć wojnę potężnemu carowi Rosji i oswobodzić Polskę. Rzecz prawie nie do uwierzenia, ale udało mu się.

Student ten nazywał się Józef Piłsudski. Polskę z niewoli, w czym Mu nieba dopomogły, uwolnił i umarł jako wielki Wódz i największy w swoim narodzie. Pogrzebano Go też w Krakowie, na Wawelu, między królami, w Wieży Srebrnych Dzwonów.

Wiele grubych ksiąg trzeba napisać, żeby opowiedzieć Jego dziwne przygody. Nie nasza to rzecz. Inni lepiej to od nas już uczynili i czynią. My pragniemy tylko przypomnieć, co uczynił Józef Piłsudski, gdy nie powiodła Mu się walka zbrojna z caratem w 1905—1906 roku. Były to lata rewolucji w całej Rosji. W Polsce chciał ją również zapalić Piłsudski, ale nie udało się. Polacy nie porwali za broń. Piłsudski musiał przerwać walkę i wycofać się na inną pozycję. Przeniósł się do Krakowa. Tam, w zaborze austriackim, mógł zająć się przygotowywaniem kadry dla przyszłego wojska polskiego.

Piłsudski spodziewał się, a nawet był pewny, że w najbliższym czasie Niemcy pobiją się z Rosją. Wierzył, że będzie najlepsza wtedy pora dla Polaków, żeby przy tej okazji odzyskali wolność.

Gdzie się dwóch bije, tam trzeci może skorzystać. Trzeba jednak, żeby ten trzeci przygotował się do tego skorzystania, żeby miał dość siły do tego. Własne państwo — to jest nielada rzecz i trzeba umieć je utrzymać, kiedy się raz je zdobędzie.

Dlatego potrzeba mieć siłę, to znaczy wojsko.

Piłsudski poczyną na długo jeszcze przed wojną światową myśleć o wojsku polskim. Przedewszystkiem trzeba dla niego przygotować dowódców, bo wojsko zaczyna się od dowódców, a nie od strzelców.

Piłsudski skupia wokół siebie ludzi, którzy chcą się uczyć sztuki wojowania. W tym celu najbliższy towarzysz pracy Piłsudskiego — Kazimierz Sosnkowski tworzy organizację o nazwie „Związek Walki Czynnej“. Ma ona za zadanie walczyć z najazdem i z bronią w rękę oswobodzić Polskę.

W ciemnych izdebkach studenckich we Lwowie ochotnicy uczą się władania bronią, służby polowej, umiejętności dowodzenia.

Ale tego Piłsudskiemu mało. Chciał cały naród przekonać, że musi się przygotować wojskowo. Stara się tedy o to, żeby związki wojskowe mogły istnieć jawnie i skupić większą ilość ludzi. W 1910 roku wreszcie zostaje utworzony we Lwowie jawny „Związek Strzelecki“, a w Krakowie — towarzystwo „Strzelec“. Powstają i inne organizacje tego samego rodzaju, jak „Drużyny Strzeleckie“ w 1912 roku, a później i „Polowe Drużyny Sokole“. W krótkim czasie ćwiczyło w Galicji 200 kół i 100 drużyn strzeleckich. Powstają szkoły, kursy oficerskie i podoficerskie oraz letnie obozy strzeleckie. Ruch ten przenika poza Galicję, do Królestwa, na Litwę, Ukrainę, do miast uniwersyteckich zagranicą, gdzie jest młodzież polska.

Kadra przyszłego wojska polskiego zaczyna się tworzyć.

W tej pracy, dzisiejszy Wódz Naczelny, generał Śmigły-Rydz Edward, jest jednym z pierwszych i najgorliwszych. Kończy szkołę oficerską w Związku Walki Czynnej; wybuch wojny światowej zastaje go na stanowisku komendanta okręgu lwowskiego Związku Strzeleckiego.

Stamtąd wyrusza w pole.

W PIERWSZEJ BRYGADZIE.

„Iskra na proch“. — Wielcy wodzowie i dobrzy żołnierze. — Pierwsze pole Śmigłego. — Pod Anielinem. — Radość Komendanta. — Śmigły dostaje pułk. — W lasku kozinieckim. — Piękny bój pod Tarłowem. — Nad Styrem i Stochodem. — Koniec Legjonów.

„My, pierwsza brygada
Strzelecka gromada
Na stos rzuciliśmy
Swój życia los...”

Rozpoczyna się wielka wojna narodów. Modlili się o nią polscy prorocy w litanji: „O wojnę ludów — prosimy Cię, Panie”.

Wojna przyszła. Polacy nie są do niej gotowi, nie pragną walki.

Piłsudski postanawia rzucić „iskrę na proch”. Rozpocząć pierwszy zbrojną walkę o wolność. 5 sierpnia 1864 roku Moskale powiesili w Warszawie ostatniego naczelnika powstania Romualda Traugutta i walka została przerwana. Więc w pięćdziesiąt lat potem, 6 sierpnia 1914 r., rano, pierwsza kompanja wojska polskiego, zwana kadrową, obala słupy, dzielące Polskę na granicy austriacko-rosyjskiej. Maszeruje na Kielce.

Piłsudski ogłasza, że wojsko, które zbiera, idzie „walczyć za oswobodzenie ojczyzny. Kadra jego wkracza na ziemię Królestwa Polskiego, zajmując ją na rzecz jej gospodarza — ludu polskiego. Zajmuje ją w imieniu Rządu Narodowego. Niesie całemu Narodowi rozkucie kajdan!”

Najśmielsi... rzucają iskrę na proch.

Ale, na Boga żywego, gdzie jest ten „proch“? Czy głos Piłsudskiego dochodzi do Polaków?

Myśli Piłsudski, że zbiegną się tysiące do szeregów, które prowadzi. Tymczasem tych tysięcy niema.

I widzi Piłsudski, że proch ten zakopany jest bardzo głęboko. Ani do niego iskra może przeskoczyć poprzez grube pancerze, nałożone przez zaborców.

Długo musi wojna piorunami w nie trzaskać, aż popękają, aż się pokruszą.

I te pioruny w ziemię polską, w lud polski bić poczynają i nie umilkną aż po latach czterech.

Wie już Piłsudski, że wojna wrogów wyczerpie i nadejdzie czas, kiedy słaby stanie się silnym.

Na ten czas należy mieć gotowego wodza naczelnego i kadrę związaną z nim miłością wspólnej sprawy.

Teraz zaś, póki czas, należy korzystać i uczyć się w polu sztuki wojowania.

Tak dawno już Polacy nie trzymali w rękach broni, że niewiadomo, czy ją nawet utrzymać potrafią. Zobaczymy.

Naprzód strzelcy!

Największym wrogiem Polski jest Rosja. „Idę z tym, kto walczy z Rosją — mówi Piłsudski. — Ale idę tylko dokąd rzecz będzie pożyteczna dla Polski. Ani godziny dłużej.“

Za pierwszą kadrową ciągną na Kielce dalsze kompanje.

W tydzień coś później obywatel Śmigły obejmuje bataljon. Bataljon leży przed Chęcinami rozwinięty w tyraljerę i czeka na nieprzyjaciela.

Tu jest pierwsze pole Śmigłego. Rozpoczyna od walki z kawalerją rosyjską. Wnet też rusza wraz

z innymi na Kielce. Ma 24 oficerów i prawie 500 strzelców, gdy stanie na długi postój w Tumlinie, pod miastem. Jest lepiej uzbrojony od innych, połowa ludzi ma porządne karabiny; reszta całego wojska — stare, jednostrzałowe.

Z taką to bronią, pożał się Boże, pierwsze wojsko polskie zaczyna wojnę. Nie ma ani broni maszynowej, ani dział, ani telefonów, ani kuchen, ani taborów... ale ma Wodza, a wódz ten — żołnierza, który więcej ceni sobie honor walki o Polskę, niż życie.

Pomyślcie, koledzy, że w naszych oczach upadły te olbrzymie armje, co wszystko miały, ale były bez wielkich wodzów i bez dobrych żołnierzy.

Polska zaś stała się wielką.

Wielcy wodzowie i dobrzy żołnierze stanowią bowiem największą siłę narodu.

*

Odchodzą Austriacy na południe. Choć niechętnie, musi i Komendant Piłsudski iść wraz z nimi. Przeprowadza się przez Wisłę pod Szczucinem. Tu nareszcie żołnierz dostaje dobry karabin.

Oddział polski otrzymuje odcinek na rzece, ale brzeg jest niski. Nie widać, co się na drugim dzieje. Cóż to za żołnierz, co da sobie w kaszę zaglądać? Wyrzuca więc Komendant część bataljonów na „tamtą stronę“, do Nowego Korczyna.

W lekkiej wojnie z kawalerją rosyjską ostrzelują się żołnierze. Bataljon obywatela Śmigłego ma potyczkę z dwoma czy trzema szwadronami jazdy. Bataljon wytrwał przez pewien czas w ogniu karabinów maszynowych, poczem Śmigły doprowadza odwód, wypiera nieprzyjaciela z lasu i zmusza go do odwrotu.

Po tygodniu bojów z kawalerją, coraz silniej naciśnięte samotne bataljony, wobec przewagi Rosjan, odprowadza Piłsudski za rzekę.

29-go września Piłsudski ze strzelcami znów wkracza do Kongresówki. Szeroko idzie natarcie Prusaków i osłaniających im skrzydło Austriaków na Dęblin.

Po ciężkich, rozmokłych drogach Sandomierszczyzny „źle uzbrojony, bosi i obdarty” nasz żołnierz, który przetrwał już „głód, chłód i niedostatek”, maszeruje na Iłżę i Zwoleń. Wierzy, że niedługo „wkroczy w mury Warszawy”.

— Ale nie tak zaraz, kolego — mówi wielka pani, wojna. — Narazie zacznę ten cały front cofać. A od tego cofania wielu się pochoruje, a tobie może ono na sławę pójdzie.

22-go października o świcie rozpoczęli nasi bój z Rosjanami, pierwszy mocny bój z piechotą. Artylerji też sporo. Ciekawi są wszyscy: jak to nasi ustoją w takim ogniu?

Śmigły leży w odwodzie. W słoneczne popołudnie widać już, że Moskale większą siłą. Rzuca Komendant naprzód co ma.

Pierwszy idzie w ogień III bataljon, „stara gwardja”, dawne kompanje kadrowe. Sam Komendant podprowadza Śmigłego i daje mu ostatnie rozkazy.

Patrole bojowe poszły laskami, a bataljon za nimi. Obchodzą wioskę Anielin. Wypatrzyły tam patrole, że Moskale leżą już na skrzydle Austriaków. Jak pójdą naprzód, narobią bigosu. Rzuca Śmigły dwie swoje kompanje do natarcia. A tam cały pułk piechoty rosyjskiej.

Po krótkim ogniu w lesie, rzucają się nasi na bagnety. Wiadomo, w lesie, ten, kto się nie boi, ma rację.

Z ostatnią kompanją idzie Śmigły, żeby zająć Moskali z boku.

Moskali jest coraz więcej. Zagina Śmigły skrzydło dwoma plutonami i broni się uparcie na miejscu. Kilka razy idzie na bagnety. Bierze ponad 200 jeńców. Dopiero po kilku godzinach luzują go większe siły. Odchodzi. Lecz czy na długo?

O nie, koledzy. Ma dowódca bataljonu, po boju w lesie, jeszcze 72 ludzi przy sobie. Są znużeni. Od trzeciej godziny rano na nogach, sam Śmigły cały dzień pracował wczoraj ciężko. Lecz nic to. Woła go obowiązek. Temu głosowi zawsze jest posłuszny. Wraca nocą ze swoimi ludźmi i przeszukuje pole bitwy. Nie zostawi przecież swoich rannych czy zabitych w rękach wroga. A jest ich kilkudziesięciu.

Od tej pory każdy żołnierz bataljonu Śmigłego wie, że nie zapomną o nim, gdy ranny padnie w ogniu.

Zawijazuje się mocny węzeł wiary między żołnierzami i dowódcą.

„Bój w lasku anielińskim stał się dumą młodego żołnierza“ — zapisze w notatniku jeden ze strzelców. Niedużo więcej napisze, bo niema kiedy. Po raz pierwszy słyszy huk wielu baterij i widzi masy piechoty wroga.

Na trzeci dzień boju bataljon Śmigłego dostaje rozkaz wzmocnienia pułku, który okopany leży przed wsią Łaski. Trzeba iść polem. Bije po nim szrapnelami artylerja.

Komendant doradza Śmigłemu:

— Puściecie ludzi po kilku, gromadkami.

Tak cały bataljon, mając ledwie kilku rannych, wchodzi do okopów.

Patrzą się Austrijaki i dziwią, jakich to mądrych oficerów ma to wojsko polskie.

Ogólny odwrót. Przez Radom na Wolbrom odchodzi Piłsudski. Odchodzi pełen radości. Czegoż się raduje? — zapytacie. Tego, że się cofa? O nie! Na wojnie raz się idzie naprzód, a kiedy indziej trzeba się i cofnąć. Nie w tem rzecz. Komendant cieszy się, że jego żołnierz zdał egzamin, że „*mu twarz nie zbladła i serce nie zadrżało przy wścieklej muzyce wojennej podczas wielkich bitew*“. Siada i pisze rozkaz pochwalny:

„Dawno już, bo prawie wiek temu, żołnierz polski brał udział w wielkich bojach, od których zależał los państw i narodów. Później, od roku 1831, już tylko w drobnych utarczkach i małych bitwach pod polskim sztandarem przelewał swoją krew...”

Dlatego, gdy przyszedł wielki bój, bał się Komendant nie o swoich żołnierzy, ale „o nasz honor wojskowy, o dobre imię i sławę naszą“.

Lecz po wielkiej bitwie lęk Komendanta minął. Dziękuje też wszystkim żołnierzom, a zwłaszcza „I i III bataljonom w imię sprawy za ten dzień chwały. Z dumą patrzyłem — pisze Komendant — na spokój i pewność siebie, z którymi oba bataljony poszły w ogień...”

I tak w pierwszym rozkazie, w którym Komendant dziękuje swoim żołnierzom za dobry bój, mówi o bataljonie Śmigłego.

W straży tylnej idzie Komendant do Wolbromia. Stąd z częścią swego wojska przechodzi pod nosem Moskali przez Ulinę Małą do Krakowa. W tym cięż-

kim marszu straż przednią prowadzi Śmigły. Okazało się wtedy jasno, ile warci są dowódcy i żołnierze, ale o tem będzie inna opowieść.

Nie chcąc być wyrzuconym wraz z Austriakami z Polski, Komendant przechodzi na Podhale. Tam przez kilka tygodni w potyczkach z Moskalami zaprawiają się Legjony w wojnie.

Pewnego dnia, gdy przyszło kwaterować, w ciasnej wsi nie starczyło miejsca dla wszystkich. Mówią, że we wsi Chyżówki są Moskale. Komendant mówi do dowódcy bataljonu, majora Śmigłego: „Kwatery weźmiecie sobie siłą“.

Otacza Śmigły Chyżówki i bierze kwatery, a z niemi szwadron rosyjski. Był to koniec listopada, noc, mróz. Wartownicy blisko dopuścili naszych. A nasi krzyczą im po rosyjsku „nie strzelać“ i klną jak artyści. Porwał się trochę Moskali do broni, ale uciszyli ich nasi i wybrali jak pisklęta.

Wiele z tego było uciechy. I poczęli żołnierze ugwarzać między sobą, że „ten Śmigły, to ma ci chłop szczęśliwą rękę“. — „Przy nim nie zostaje się ani rannym, ani zabitym“.

Po bojach pod Marcinkowicami i Pisarzową w połowie grudnia, w Nowym Sączu „pułk dostał brygadę“. Tak mówią, bo dotychczasowy pułk został podzielony na dwa.

I i III bataljon — to będzie teraz pułk 1-szy, pułk Śmigłego.

Egzamin zdaje z nim, wraz z brygadą, w dobrym boju pod Łowczówkiem. Zaczyna Śmigły walkę przeciwuderzeniem na zajęte przez Rosjan wzgórze. Rozbija usadowiony tam pułk piechoty.

Na zdobytym wzgórzu umacnia się i wytrzymuje w silnym ogniu kilka dni i nocy. Odpiera szturm po szturmie. Nieprzyjaciel nieraz dochodzi na 40—50 kroków i w walce na bagnety jest odrzucany.

A jest pora Bożego Narodzenia i gdy raz wieczorem zaciął ogień na chwilę, w okopach po obu stronach frontu rozległy się... kolendy. W pułkach rosyjskich, co nacierały, było dużo rezerwistów-Polaków. Pod przymusem wzięci, pod przymusem za sprawę obcą walczyli.

Wreszcie nadszedł rozkaz wycofania się. Był czas najwyższy. We mgle nacierali Rosjanie i we mgle odeszli nasi, zostawiając za sobą 100 poległych, a uprowadzając ze sobą 600 jeńców.

„Stara gwardja, oddziały majora Śmigłego, prące naprzód w niezawodnym ataku” schodziły z dumą z pola bitwy.

W marcu 1915 roku Śmigły idzie z pułkiem do okopów nad Nidą.

11 maja rozpoczyna się ofensywa. Brygada rusza naprzód. Po tygodniu wypada zacięty bój o laszek koziniecki. Ciężko tam pracuje 1-szy pułk. Rozrzucono go częściami po froncie całej dywizji. Po zostaje 20 maja już tylko III bataljon, z którym Śmigły rusza do natarcia i „zostając cały czas wśród jego kompanij, podtrzymuje swą obecnością ducha żołnierza”. Tu w kilkudniowych bojach, III bataljon traci ponad trzecią część ludzi. Trzyma się jednak twardo i w dwa dni później w przeciwuderzeniu bierze 200 jeńców.

„Pień walki było w lesie kozinieckim — zapisze w swym notatniku oficer sztabu brygady. — Pewnego wieczora nadjechaliśmy z Komendantem, gdy szedł atak rosyjski — przedostaliśmy się laskiem kozinieckim na jego skraj północny do linii bojowej. Dokoła zgiełk, pożary rzucają krwawy blask. Co chwila na froncie rozlega się

potężne „hurra“. Zastajemy majora Śmigłego, jak ze spokojem i uśmiechem strofuje zbyt przejętego nastrojem oficera, który coś melduje.“

A może to był nie oficer, a podoficer, który tak opowiada:

„Wyrwałem się już prawie z rąk otaczających nas Rosjan. W kilka minut dobiegłem do Śmigłego, który się cofał z jedną z kompanij w rozgwarze i hałasie bitwy. Przystanęwszy, przyjął mój meldunek ze zwykłym uśmiechem... Trzeci bataljon cofał się spokojnie, w ciągu najbliższej półgodziny przeszedł do przeciwnatarcia. Był to trzeci dzień bitwy“.

„W III bataljonie, w ciężkich walkach docierało się do majora Śmigłego zwykle gdzieś w pobliżu kompanij walczących w pierwszej linii“ — opowiada ten sam, co poprzednio, oficer sztabu brygady.

„Innym razem, w dzień, gdy na trzymany przez III bataljon skraj lasu idą raz po raz rosyjskie ataki, wysyła mnie tam Komendant... Od Pokrzywianki widać już, co za piekło w lasu i dolinie, przez którą się przechodzi do naszych linii. Raz po raz idą „kuferki“ (ciężkie granaty), wyrzucając snopy ziemi i dymu. Galopuję jakiś czas, zostawiam wreszcie w wózku konia. Ciągnę na piechotę. Bez przerwy idą z gwizdem kule z karabinów maszynowych. Za chwilę w lesie przemykam się od drzewa do drzewa, coraz więcej przejęty grozą boju. Mijam grupki chłopców wtulonych w załomy gruntu, ukrytych za drzewami. — Gdzie major? — Jeszcze dalej. — Kule szycią ciągiem bez przerwy po pniach. Co kilkanaście sekund pocisk armatni łamie gdzieś gałęzie i drzewa. Wreszcie oni. Półleżąca grupka ludzi. Podpełza jakiś goniec“.

„Widać jak z dnia na dzień czernieją im twarze. Oczy błyszczą gorączką. Spokój jednak. Równe ruchy rąk majora. Wypowiada wolno słowa rozkazu. Potem opo-

Czasy legjonowe.



Anielin. Lipiec 1916 roku. Podpułkownik Śmigły, jako dowódca 1 pułku piechoty Legjonów, na kłacz „Lolka”.

wieść: — Załamał się jednak atak. Idzie drugi. Straty. Wytrzymamy, powiedzcie Komendantowi...”

Tak wyglądał major Śmigły w boju o lasek koziniecki.

Od 23-go znów brygada jest w boju. Naciera na silnie umocnioną, naszpikowaną karabinami maszynowymi, pozycję. Artylerja nie zrobiła jej wielkiej krzywdy. Utknęli nasi przed okopami. Waży się to ze dwa dni. Wymęczone obie strony stoją naprzeciw siebie. Straty są duże.

Komendant chwali w rozkazie „wypróbowany III bataljon, który w ciężkim boju i zamieszaniu pola bitwy był jedyną zwartą grupą na szerokim froncie... zachował się po bohatersku, znacząc każdy krok swój krwią własną i wroga.” Żołnierzom tego bataljonu wyraża Komendant „głęboką wdzięczność” za to, „że nie mogąc wygrać boju, honoru swego bronić potrafili”.

Słowa uznania otrzymuje też dowódca 1-go pułku major Śmigły za to, że „nie tylko sam wytrwał na stanowisku niezwykle przykrem, lecz złożył w bojach o lasek koziniecki nowe dowody niezwykłego męstwa i spokoju przy największem niebezpieczeństwie”.

„Majorowi przedewszystkiem przypisuje, że III bataljon nie ugiął się, mając zadanie, które było znacznie większe, niż siły... przeciętnego żołnierza”.

Rozkazem z 3 czerwca Komendant „mianuje majora Edwarda Rydza — podpułkownikiem”.

Odtąd też każdy awans Śmigłego jest bojem zapłacony.

Następuje wielki odwrót Moskali. Wycofują się z Królestwa na Wołyń. Idzie za nimi brygada Legjonów. Z pod Konar na Ożarów kroczy przez zgłiszczą. Moskale palą wszystko za sobą. W dzień naokół słupy dymów, w nocy łuny pożarów. Co tchu idzie

naprzód Śmigły w straży przedniej, w grupie pościgowej; chce jak najprędzej dopaść wroga i nie dać mu palić naszych wsi. Z miasteczka Ożarów pozostały popioły. Kościół nie chciał się palić. Trzy razy go naftą Moskale oblewali.

Kłosa się już chylą na polach, koniec czerwca.

Moskale wypędzają ludność z chat i wszystko palą.

O nieszczęśliwy ty kraju polski, w którym wróg czyni co chce, a my bezsilni nic mu zabronić nie możemy! Wsie nasze pali, ludziom naszym każe się na wojnie zabijać za siebie. Taki jest los narodu w niewoli!

Z pod Ożarowa idzie brygada na północ, ku Wiśle. Pod Tarłowem ma się przeprawić.

Ale Moskale bronią przejścia. Mielł czas — przygotowali okopy, odrutowali się mocno.

Dwa dni nacierają nasi. Głównie Śmigły ze swym pułkiem.

Moskale siedzą na wzgórzach i w lasku. Przed nimi pole szerokie, tu i owdzie pokryte zbożem.

W południe rozpoczynają nasi natarcie. Mocno bije artylerja rosyjska. Skokami, wolno, uparcie posuwają się polskie tyraljery. Na wieczór doszły na 700 albo i 400 kroków do nieprzyjaciela. Austriaki, co są na prawo i na lewo, wcale się nie spieszą, a patrzą się na tę dziwną piechotę polską, co, jakby nie czując strzałów nieprzyjacielskich, uparcie posuwa się naprzód.

Przez noc podchodzą bliżej nasze patrole, lecz ruszyć się nieprzyjaciel nie da. Żołnierz, przemęczony, zasypia gdzie padł. O świcie znów nasi wolno lecz zawięście suną naprzód, ku Wiśle.

Wali po nich ciężka artylerja. Nie da się nikomu ruszyć. Każdy ruch plutonu czy też grupki sprowadza nawałę ognia.

Więc po jednym posuwają się strzelcy. Wolno to idzie, ale pewnie. Dochodzą skokami do samych pozycyj nieprzyjacielskich. Patrole włożą w druty.

I choć twardo trzymali się grenadjerzy rosyjscy — zemdlały w nich wkońcu serca.

Bo i jakże! Strzelają jeden dzień, strzelają drugi dzień, a tu coraz ku nim ktoś biegnie. Jeden, dwóch żołnierzy, ale biegnie. Widać z żelaza ludzie.

Nie wytrzymali grenadjerzy. Nocą uszli. Kiedy nasi o 1-ej w nocy poderwali się i poszli do szturm — straż tylna, pozostawiona przez Rosjan w okopach, uciekła bez strzału.

Bój pod Tarłowem — jeden to z najpiękniejszych. Wygrał go ten, co mimo ognia szedł. Idąc zaś, wiedział, że dojdzie. Musi dojść.

Zrozumiał to przeciwnik i załkł się.

Dlatego odszedł.

Nie karabiny, lecz wola zwyciężyła.

Za Wisłą, w pościgu, w utarczkach, przechodzi brygada przez Lubelszczyznę i przekracza rzekę Bug. Leczą tam się pościgi nie kończy. Za Brześć podąża brygada, a wreszcie do Kowla. Tu, nad Styrem i Stochodem, czekają ją jeszcze ciężkie boje.

We wrześniu brygada rozdziela się. Większa jej część z Śmigłym idzie pod Czartorysk. W uciążliwych marszach i bitwach oczyszcza z nieprzyjaciela kraj między Stochodem i Styrem.

Gdy wraca Śmigły w listopadzie, Komendant wita wracających żołnierzy radosnym rozkazem: „Znowuśmy silni łączności... w przyjacielskiem kole“. Wita Komen-

dant powracających „co znają rany i śmierć, lecz nie wiedzą, co to jest bezsława“. Wita tę „starą gwardję co umrzeć może, ale się nie podda“. Dziękuje Komendant „pułkownikowi Rydzowi-Śmigłemu, któremu wypadło w najcięższych warunkach prowadzić brygadę, za siłę woli i hart, wykazany w tych chwilach. Za sławę którą okrył nas wzięciem Jabłonki i Kukli.“

W grudniu, 1-szy pułk Śmigłego wraz z całą brygadą idzie na odpoczynek, który trwa aż do marca 1916 r. Po Wielkanocy, 28 kwietnia, staje pułk na odcinku pod Optową i tu 8 czerwca wstrzymuje silne natarcie Rosjan. Ale to dopiero wstęp do wielkich bojów nad Styrem.

4 lipca znalazły się Legjony pod Kościuchniówką pod ogniem huraganowym; przez 36 godzin padają pociski. Bitwa trwa trzy dni. Austriacy odchodzą z obu skrzydeł i Legjony zmuszone są do odwrotu.

Ostatnie boje prowadzi Śmigły pod Sitowiczami, gdzie kilkakrotnie odpiera Rosjan.

Polacy walczą, lecz mimo przelanej krwi, Austriacy i Niemcy nie chcą nic uczynić dla Polski. Komendant podaje się do dymisji. Legjony wycofane z frontu odchodzą na tyły. Komendant odjeżdża do Warszawy i w zastępstwie pozostawia pułkownika Śmigłego.

Legjony odmawiają złożenia przysięgi Niemcom na braterstwo i idą w rozsypkę. Jedni dostają się do obozów koncentracyjnych, drugich wiozą Austriacy na front włoski.

Niemcy zamykają Komendanta i szefa jego sztabu w więzieniu. W Polsce, na placu, jako dowódca zo-

staje pułkownik Śmigły i pod jego kierunkiem potajemne wojsko — Polska Organizacja Wojskowa (P. O. W.) przygotowuje się do nowej wojny, wojny z Austrią i Niemcami.

Wali się już Rosja. Niedługo przyjdzie czas, wierzą Legjony, gdy runą i dwaj pozostali wrogowie Polski.

Młody legjonista, którego w zamkniętym wagonie wiozą do obozu koncentracyjnego, układa piosenkę:

„Legjony to żebracza nuta
Legjony to ofiarny stos
Legjony to żołnierska buta
Legjony to straceńców los...”

Legjony idą w rozsypkę, lecz nie umierają.



„MÓJ UCZEŃ — ŚMIGŁY...”

Komendant w więzieniu tęskni za Polską. — Na kartkach wypisuje swoją tęsknotę. — Jak to było w marszu przez Ulinę Małą. — Śmigły prowadzi straż przednią. — Spotkanie z Moskalami. — Noce przy ramieniu Śmigłego. — Śmigły na czele P. O. W.

„W ciągłym pośpiechu, w ciągłym marszu, trudzie
W zbroyach żelaznych — z błyskawicy ludzie“.

J. Słowacki

W Magdeburgu, niemieckiem dzisiaj mieście nad niegdyś słowiańską rzeką Łabą, siedzi w pruskim więzieniu Komendant Piłsudski. *„Nad głową jego stoi kat. Nigdy nie jest pewny swego życia.“*

Komendant jest samotny. Głos żaden do Niego ze świata nie dochodzi. *„Jest jak w grobie zamkniętym“*. Nie wie, co się dzieje z Jego żołnierzami, z Polską. Naokół wrogie, bądź obojętne twarze pruskiej straży więziennej.

Nie ma z kim słowa zamienić. Po całych dniach, długich więziennych dniach, krąży po ogródku, jakby chodząc po krótkiej ścieżce, chciał nią do Ojczyzny dojść. Lecz naokoło mur i wał porośły trawą, z wysokim parkanem na wierzchu. W długie noce więzienne Komendant, znużony chodzeniem, wpatruje się w stronę wschodnią — w stronę kraju.

Nie wie, jak długo Niemcy będą Go trzymać. Co z nim zrobią? Rozumie, że raz zamknąwszy, już Go nigdy wypuścić nie mogą. Chyba, że zwyciężą cały świat... albo przegrają z kretesem.

Zamknąwszy oczy, zanurza się Komendant w przeszłość. Wspomina miasto najmiłsze — Wilno, do

Wilna tęskni. Czyni przegląd swego życia, pracy niedawnej, tego co czynił, od czego Go oderwano. Jeżeli nie wyjdzie stąd, co to dzieje o Nim powiedzą. W długich „samotnych wędrówkach po ogródku więzienia wyrastają przed nim, jak żywe, kwiaty wspomnień.“

Myśli przychodzą o bojach. Przez dziesięć lat nie czynił nic innego, jak tylko pragnął zrozumieć sztukę dowodzenia, nauczyć się jej. Chciał zrozumieć, co należy czynić, żeby zwyciężać.

Teraz w więzieniu jest czas, żeby nie tylko przeżyć dawne boje, ale je nawet opisać. Czy zostaną dla potomnych — niewiadomo, ale zawsze to ulga. Jakbyś się przyjacielowi wygadał ze zmartwień i z radości swojej.

Dozorcom swoim powiada Komendant:

— Bezprawnie mnie tu trzymacie samotnie w więzieniu. Powiedział mi w twierdzy Wesel, gdy tam siedziałem, jej komendant, generał, że prawo pruskie zabrania trzymać więźnia samotnie. Dajcie mi pióro i papier, żebym mógł skargę napisać. Dajcie mi dużo papieru, bo po niemiecku słabo piszę i dużo go napsuję.

Uśmieł się chytrze Komendant, gdy Mu dali atrament, pióro i papier. Zasiadł przy stole i począł pisać.

Ani Mu w głowie żadna skarga. Komu się to skarżyć? Prusakom? Poco?

Sobie samemu chce się Komendant uzalić.

Serce w Nim mdleje z żalu za swoimi, za braćmi-żołnierzami, przyjaciółmi, których samotnie pozostawił. O nich to pisać będzie. Swoją i ich chwałę temu papierowi zawierzy.

Pisze małemi, skąpemi literami, żeby na więcej papieru starczyło. Pisze o bojach za Polskę, o Ulinie Małej, o marszu między korpusami rosyjskimi, gdy stawił na kartę siebie i niemal cały swój oddział. Duszę miał wtedy jakże ciężką!

W tem piśmie zawiera Komendant całą swoją tęsknotę do wszystkiego co polskie — do drogi błotnistej, do wsi zapadłej — lecz najpierw do przyjaciół.

Szedł Komendant przez tę Ulinę Małą, cofając się z pod Dębina w ognie korpusu austriackiego. Wszyscy byli przemęczeni, a przychodzi rozkaz, że Komendant ma iść ze swoim oddziałem na zwiad przez Żarnowiec do Miechowa. To znaczy przejść przed frontem.

Wyobraził sobie Komendant, że jest jeszcze wąski korytarzyk między cofającymi się Austriakami, a nadchodzącymi Moskalami i że on ze swymi tamtędy przeskoczy.

Pożał się Boże, taki to tam był i korytarzyk. Ale skąd Komendant mógł o tem wiedzieć? Choć Komendant, ale omylił się.

Wcale tam nie było żadnego korytarzyka.

I Komendant poszedł wpoprzek, przez straż przednie korpusu rosyjskiego.

I przeszedł. Cuda się dzieją. Samo istnienie Piłsudskiego przecież było też cudem.

— Jak to było w tym marszu przez Ulinę Małą? — przypomina sobie Komendant. Widzi jakby to dziś było.

Straż przednią prowadzi Śmigły. Idzie na czele kolumny. Jazda! Ruszamy! — powiada. Na Miechów. Z Wolbromia na Miechów. Przy stacji Miechów szpica błądzi.

Wywołują ludzi z chaty, baby, chłopaka. Komendant mówi:

— Chłopcze, poprowadzisz nas do drogi na Miechów, zbieraj się, idziemy zaraz.

Baby w płacz, narzekanie, rozprowadanie.

Śmigły przerywa gadaninę, woła paru żołnierzy i ci przystępują do chłopca. Wyprowadza ich na jakąś drogę.

Maszeruje straż przednia lasem. Pali Komendanta ciekawość, co spotka przy zagrodzie na skrócie. Wreszcie widać zabudowania. Komendant wstrzymuje

kolumnę i chce jechać naprzód, ale za cugle konia chwytą ręka Śmigłego.

— Komendancie! Nie wolno! Ja prowadzę straż przednią. To mój obowiązek. Proszę zaczekać.

Przypomina sobie w więzieniu, w Magdeburgu, tę chwilę Komendant, przypomina sobie błotnistą drogę, ledwie gdzieś widoczne chaty i na tej błotnistej drodze Śmigłego, trzymającego twardo cugle kasztanki.

Pochyla się głowa Komendanta nad papierem, śmieje się cichutko ze szczęścia i drobnymi, ciągle oszczędzonymi literami pisze:

„Kochany Śmigły! Kiwam mu głową na znak zgody i zostaję przy kolumnie.“

Przygląda się Komendant chwilę literom i po chwili pisze tak dalej:

„Z pamięci wyskakuje mi nagle Kraków i salka wykładowa w „Strzelcu“. Pamiętam, gdym, zwarzowai y, czytając ciągle o wojnie japońskiej, wykladał swym uczniom sławny nocny atak 10-ej dywizji na „Wzgórze o dwóch rogach“, jeden z bohaterских czynów japońskich, który wzbudził mój zachwyt. Zawsze przy tym wykładzie, jako przykład rozumnej karności, przedstawiałem wypadek z marszałkiem Nodzu, dowódcą armji, do której należała 10-a dywizja.“

„Marszałek Nodzu, zaniepokojony strzałami, wpadł do wsi przez którą maszerowali Japończycy i szły kule rosyjskie. Chciał być bliżej wypadków. I tam dowódca dywizji, po złożeniu raportu, zażądał, żeby marszałek się usunął, bo „odkąd to dowódca armji ma być w linii ognia?“ Nodzu usłuchał. Mówilem o tym wypadku zawsze, wskazując, że wódz musi uszanować nie tylko granice swoich obowiązków, ale i praw swoich podkomendnych.“

Zamyślił się Komendant i dopisał ze wzruszeniem:

„Teraz mój uczeń — Śmigły — przywołał mnie do porządku.“

Przypomina sobie Komendant, jak to było dalej, tam, w tem ciężkiem błocie pod Miechowem, jak

strudzeni ludzie wlekli się ospale. Jak już noc gasta i dzień wstawać począł. Jak zobaczył w oddali Ulinę Małą, gdzie baby rzewnie płakały.

Tam, w tej Ulinie Małej, odpoczywa Komendant z wojskiem i tam się dowiaduje, że ten Jego korytarz między wojskami wcale nie istnieje, bo już wszędzie przechodzili Moskale. Jest więc między dwiema drogami ich marszu. Sam pośród nieprzyjacielskiej armji. „*Mucha wobec słonia*“.

Opuszcza głowę Komendant w Magdeburgu, gdy sobie przypomni swoje przerażenie o wojsko.

„*Za chwilę olbrzymia, potworna stopa zgniecie — myślał — ciebie z twoim oddziałem bez śladu. Licho żadne nie bardzo wiedzieć będzie, gdzie się podział Piłsudski ze swymi strzelcami.*“

Dokąd teraz iść? Przez dzień przyczał się w Ulinie Komendant i namyślał się. O zmierzchu dalej wyruszył. Karabiny rozładowane, żeby który nie wypalił. W marszu chłopcy trzymają się pod ręce, kałuż nie obchodzą, żeby nie rozluźniać szeregów. Nie palą, głośno nie rozmawiają, ani nikt nie zakrzyknie. Tylko cicho można przejść i uratować siebie.

Przodem idzie znów III bataljon, to jest Śmigły.

Gdzieś ztyłu dociągnęły do wsi jakieś sotnie kozaków. Nacierają. Jedna kompanja III bataljonu ich odpędza. Meldunek od Śmigłego, że za chwilę będzie gotów. A tu się ziemia pali pod stopami. Za chwilę! Ach te marudery z III bataljonu!

Nadjeżdża oficer ułanów z meldunkiem, że w Czaplach Wielkich napotkał Moskali.

— Idę już do Śmigłego! — mówi Komendant, bo do Śmigłego to znaczy idę naprzód, ze szpicą. Idziemy na Władysławów.

Wpada Komendant na Śmigłego z narzekaniem na maruderstwo. Major tłumaczy się — jest tak ciemno, że musieli kilka płotów rozwalić, żeby łatwiej się

wydostać na ulicę. Poza tem nakazał szukać przewodnika i na niego czeka.

Przypomina sobie Komendant teraz, gdy to pisze w Magdeburgu, jak to było w tym pokoju u Śmigłego, ciepłym, jasno oświetlonym pokoju. W oczekiwaniu na przewodnika, wypił Komendant jeszcze szklankę mleka z doskonałą butką.

Prawda. Już to sztab Śmigłego zawsze był doskonale zagospodarowany — pochwali go Komendant w myśli.

Za przewodnikiem w błocie ulicy posuwa się szpica.

Wszędzie naokoło są kozacy. Donoszą o nich patrole. Idąc drogą, zaczepia Komendant o nogi ludzkie. To czujki. Ładne czujki. Co chwila natyka się Komendant na śpiących. Dusi się aż ze wściekłości. Spotyka dowódcę kompanji, wymyśla mu. Ten się tłumaczy:

— Ach, Komendancie — mówi — biegam ciągle, budzę, tak są zmęczeni, że ledwie zostawić, a za chwilę już wszystko śpi.

Gdzieś, za rozwidleniem dróg, zatrzymanie. Major Śmigły budzi Komendanta z rozważań, chwytając za rękę i podnosząc swoją na znak zatrzymania kolumny. To stoją jakieś porzucone konie.

I znów droga po błocie. Szpica podchodzi do chaty. Komendant jest o dwa, trzy kroki za Śmigłym, kolumna o dwadzieścia, trzydzieści kroków. Nagle, gdy szpica zbliża się do chaty, słychać wypowiedziane słowa grubym głosem:

— Stoj, kto idiot?

Moskale. Uciekają.

Śmigły już rzucił rozkaz:

— Druga kompanja naprzód! Przeszukać domy!

Po chwili tętent galopujących koni. Strzały. Jeźdźcy uciekli, jeden koń został.

Komendant rozmawia ze Śmigłym. Ten zmienia szpicę. Bierze nowego przewodnika. Marsz dalej.

I znów droga w ciemności. Kolumna sunie cicho, cichutko, jak wilki nocną porą. Obchodzą wieś polami. Znów przy jakiejś chacie patrol kozacki i strzały. Trudno iść bezdrożem po zoranych polach. Nogi grzęzną w bródach, miękka ziemia oblepia buty. Gdyby nie konieczność, ani Komendant ani żołnierze nie daliby rady w tym dzikim marszu po bezdrożu.

Cisza. Żołnierze idą ledwie na palcach, zezując, czy ze wsi nie hukną strzały.

Jakiś wąwóz: trzeba się do niego spuszczać po spadzistej ścianie. Nie mając laski ani karabina do oparcia, już miał Komendant zamiar poprostu stoczyć się nadół, gdy poczuł obok siebie podtrzymującą go rękę Śmigłego.

Na dnie wąwozu, w ukryciu, Komendant wypalił papierosa. Jakże ciężko wstać potem i ruszać. Nogi jakby ulane z ołowiu, głowa ciężka, twarz i oczy jakieś rozpalone. Jedyne uczucie, jedyna myśl — to wyciągnąć się w tym parowie i leżeć, niech się dzieje co chce.

Przewodnicy prowadzą dalej kolumnę. Podoba im się nawet to przeprowadzanie swoich przez wojska rosyjskie. Wyjście z wąwozu jest jeszcze bardziej strome, niż zejście do niego. Drapie się Komendant wgórę rękami i nogami, serce mu się tłucze gwałtownie w piersi, myśli z przerażeniem, jakże się kasztanka tu wydrapie. Staje Komendant wreszcie zasapany na górze. Rzuca okiem na wszystkie strony. We wsi naprzeciw mają być Moskale. Gdzieś na lewo padają strzały. Wszystko zamarło. Lecz kule lecą gdzieś bokiem. Bezwiednie podnosi Komendant rękę, żeby zatrzymać kolumnę. Słyszy, jak szeptem daje Śmigły rozkaz: — padnij! Widzi, jak żołnierze i przewodnicy przywarli do ziemi. Wysuwa się Komendant ze Śmigłym przed szpicę ku drzewom. Tam się kładzie

i zaczyna uważnie wpatrywać się w szaro-srebrną przestrzeń. Całą duszę wkłada w oczy, żeby przebić mgłę, a na dnie serca dręczy go pytanie: — czyżby już?

Nie, strzałów nie słysząc. Patrzy na prawo i widzi kilku konnych. Jeden na przedzie, a za nim trzech innych. Kawalerja rosyjska. Mają piki. Co robić? Od nawału myśli Komendant zamyka oczy, żeby lepiej namyślić się nad rozkazem, jaki ma wydać. Przez zamknięte oczy widzi ten sam obraz: szarosrebrną równinę, a na niej jak duchy bezszelestne konne postacie.

— Do licha — myśli Komendant — to złudzenie!

Uszczypnął się Komendant. Przecież nie słyszy tupotu koni. Cisza. Nie trzeba marnować czasu.

— Nic niema — szepce Śmigły — chyba można ruszyć? Co, Komendancie?

Gdzieś daleko w tyle strzały. Co takiego? Nie wiadomo gdzie.

Zaczyna Komendant opadać z sił. Przemaga się, lecz czuje, że wkrótce padnie. Zmęczył się na tych podorywkach. Zjadł już całą butkę i cukierki, jakie mu gościnnie wepchnięto w kieszeń w sztabie majora Śmigłego. Nie pomaga. W głowie mu się kręci. A może oddać komendę szefowi sztabu, samemu odejść na tyły i siąść na kasztankę. Niech ona jak umie wyciąga nogi z tej zoranej ziemi. Nie, nie wolno.

Trzeba jednak szukać pomocy. Bierze Komendant pod rękę Śmigłego i opiera się mocno. Dla ulżenia poczyną sobie myśleć o Moskalach, co pewnie będą go szukali w Ulinie. Będą mieli głupie miny, jak zobaczą, że ptaszek wyfrunął. A te strzały? Pewnie po nocy ze strachu strzelają do siebie.

Patrzy Komendant na zegarek. Zbliża się piąta. Zaraz świt. Jak tam dalej? Zaraz będzie droga Słomniki—Skąta. Zobaczy się domy obu wsi.

Księżyc już niema. Szary świt, w półmroku widać chaty wsi, między którymi trzeba przejść gościniec.

Zapomniane zmęczenie. Puszcza Komendant opiekuńcze ramię Śmigłego i znów ma siebie w garści. Na gościńcu pusto.

Już las za nim. Tam odpoczynek, później już droga bezpieczniejsza do Krakowa...

Tak to sobie przypomina Komendant, siedząc w magdeburskim więzieniu, z dumą i radością ten słynny marsz przez Ulinę. Te noce spędzone przy ramieniu Śmigłego. I jego raporty już po przybyciu do Krakowa, gdzie mu kwater dać nie chcieli Austriacy.

Drobniutkiem pismem na papierze, co na nim miała być skarga, spisuje to wszystko Komendant.

Przegląda raz jeszcze kartki. „Kochany Śmigły!” przeczytał.

Zamyślił się raz jeszcze. Gdzie jesteś, uczniu mój, oporo mego znużonego ciała, gdym szedł po mokrej, zoranej ziemi? Ty, co targnąłeś cugle kasztanki, gdy moja niecierpliwość naprzód ją, w miejsce mi nieprzeznaczone, wysunąć chciała. Co czynisz, gdy ja tu w więzieniu w dniu 7 września 1917 roku opis przeprawy przez Ulinę kończę?

Nic nie wiem o tobie, uczniu mój. Ale wiem, że jak po Ulinie zacząłem sobie ufać i wierzyć w swoje siły, tak samo zacząłem również jeszcze bardziej, niż dotąd ufać w twoje.

Gdy Komendant kończy pisać te słowa w więzieniu magdeburskim, w tym właśnie czasie ciężka choroba nawiedza pułkownika Śmigłego i wycieńcza go bezlitośnie. Co dnia ktoś mu przynosi gorsze wiadomości o tem, jak konają pułki Legjonów, a Wódz niewiedomo gdzie uwięziony. Niewiedomo nawet czy żyje.

Długo trwa choroba. Śmigły jest tak mizerny i wynędzniały, że niema mowy, żeby wojsko austriackie, które nie wie zresztą, co z tym pułkownikiem polskiej nominacji począć, miało z niego jakąś pociechę.

Ale w chorobie można myśleć. Myśl ta jest zarazem dziełem.

Pułkownik Śmigły staje na czele P. O. W., jedyne go wojska, jakie Polska natenczas posiada.

Kiedy indziej opowiemy wam, koledzy, jak to owem P. O. W. obywatel Śmigły dowodził, jak walczył z Niemcami, bo wojnę z Rosją Komendant uważał już za skończoną.

Kiedy indziej opowiemy wam, jak Śmigły wyruszył na Ukrainę, żeby dostać się do wojska polskiego, które tam w 1917 roku tworzyć się poczęło, i co z tego wynikło.

Dowodzona przez Śmigłego P. O. W., wojsko w ukryciu, wyszła z niego, gdy wybiła godzina odwetu. Ona to rozpoczęła rozbrajanie Austriaków i Niemców w Polsce.

Powracającemu z Magdeburga Komendantowi melduje się Śmigły, mając już oddziały wojska. Rusza też zaraz na front, bo ze wschodu wyciągają się drapieżne ręce po naszą ziemię. Na froncie tym, w ciągłej wojnie, przebywa Śmigły zimę z 1918 na 1919 rok.

Ale o tem kiedy indziej, przyjaciele, będzie opowieść. Miejcie cierpliwość. Teraz zaś dalsze usłyszyście dzieje.

W zdobytym Dyneburgu.



Styczeń 1920 roku. Naczelny Wódz z generałem Śmigłym
w czasie wyprawy „Zima”.

„DZIĘKI CI, MATKO, ZA WILNO...”

Dziwna opowieść o votum w Ostrej Bramie. — Wilno musi być moje! marzy Komendant. — Lwów żąda pomocy, nikt nie myśli o Wilnie. — Nadchodzi wiosna — Wilno należy zdobyć. — Komendant sam rusza, bierze najlepszych wodzów, najlepsze wojsko. — 16-go czerwoni bronią się w Lidzie. — Zła droga zatrzymuje Belinę i Śmigłego, pośpieszających na Wilno. — Nie wiedzą co robić — losu pytają o radę. — W Wielką Sobotę kawalerja nasza napada na miasto. — Śmigły pośpiesza jej z odsieczą — wypędza czerwonych z miasta. — Triumf Wodza. — Wódz Naczelny, radosny, pozostawia Wilno pod opieką Śmigłego. — Z trzech stron nieprzyjaciół uderza na miasto. — Zwycięża go Śmigły. — Wódz Naczelny pisze rozkaz pochwalny. — Śmigły ustanawia odznakę: Wilno — Wielkanoc. — Ci, co jej nosić nie będą, otrzymują największą nagrodę — serce Wodza wśród nich kładą. — Votum Wodza.

„Z Warszawy zobaczyć już nam pilno
To nasze kochane, stare Wilno,
To nasze kochane, stare Wilno...”

Jest stara baszta w warownych murach miasta Wilna. Zwie się Ostra Brama. Wjeżdża się przez nią od strony Warszawy. W tej baszcie, na pięterku, cudowna Matka Boska, Wielka Księżna Litewska, od wieków świeci i króluje nad miastem.

Gdy tam będziecie, koledzy, a koniecznie musicie zobaczyć choć jeden raz w życiu Panią z Ostrej Bramy.

ujrzącie wśród zawieszonych votów serce, a na nim prosty napis: „Dzięki Ci, Matko, za Wilno...” I nic więcej, tylko te słowa.

Posłuchajcie, jaka jest dziwna i naprawdę cudowna historia tego votum. Niecodziennie się taka zdarza i rzadziej może, niż raz na sto, a może dwieście i więcej lat. Więc posłuchajcie w ciszy i skupieniu, bo o sercu serc będzie to opowieść. I nie myślcie, że chodzi tu o miłość dwojga ku sobie, chłopca i dziewczyny, o nie! Jest to historia miłości syna Wilna do rodzinnego miasta. Piękniejszej nie znają dzieje.

W Magdeburgu, w niemieckim więzieniu, codziennie myśli Komendant o Wilnie „do Wilna tęskni. Do miasta miłego. Do rzędem murów biegnących, co go dzieckiem pieściły, co wielkość prawdy kochać uczyły”.

„Wszystko piękno w duszy Komendanta przez Wilno jest wypieszczane. Tu usłyszał pierwsze słowa miłości, tu pierwsze słowa mądrości... w tem jednym z najpiękniejszych miast w świecie”.

Biegną ku Wilnu pieściotliwe Komendanta myśli.

Później, po roku, gdy chodzi po pokojach Belwederu, duchy, co po nich krążą, nic Mu, wielkiemu czarownikowi woli, nie przeszkadzają. Wtenczas marzy:

— Wilno zdobędę! Wilno musi być moje!

„Polska ledwie żyć zaczyna, ze wszystkich stron żądają obcy naszej ziemi, dłonie się ku niej wyciągają. Na wszystkich ścianach Rzeczypospolitej bitwy i wojna trwa, działa grzmią. Wilno jest dalekie od myśli wszystkich. Wilno jest dalekie od zakłopotañ serc wszystkich”.

Tylko jedno serce Wodza pragnie Wilna. Usta jego szepcą do siebie, cichutko:

— Wilno musi być moje!

Z nicości należy wydobyć siłę. Zwykła to rzecz w ciągu całego życia dla rewolucjonisty, a później Wodza Naczelnego i Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego.

Z nicości wydobyć siłę. Po wyjściu Niemców i Moskali z Polski, pozostały połamane płoty, zawszone co ocalały z pożarów chaty, tyfus, zrujnowane fabryki, nędza i niewierzący w spełnioną nareszcie wolność naród.

Niema ani broni, ani dział, ani mundurów, ani butów. Zewsząd zaś, jak powiedziałem, po polską ziemię wyciągają się już drapieżne ręce.

Oślonić ją może tylko siła. Pierwsza zima naszej wolności jest niczem innym, jak tworzeniem siły, zbieraniem wojska, zbieraniem ochotników — rekrutów, którzy w ogniu wojny staną się wojskiem.

Jeszcze nie wiedzą ci rekruci, z której strony się karabin nabija, a tu już trzeba bić się o Lwów. Ukraińcy są tam w przewadze. Dzieci Lwowa walczą, lecz dzieci mają niewiele tchu i sił. Krzyk ich: „pomocy!” przelatuje nad całą Polską. Bataljon za bataljonem podąża do Lwowa i wsiąka w niego. Raz tam jest gorzej, raz lepiej, lecz gdy jest gorzej, od krzyku ginącego Lwowa drżą serca całej Rzeczypospolitej.

— Na pomoc! Ratunku!

Niema jeszcze wtedy radja, lecz głos ten sięga, koledzy, do najdalszych chat.

Wszyscy spoglądają ku góróm Karpackim, w stronę, gdzie broni się Lwów. Nikt nie myśli o Wilnie. Wilno po odejściu Niemców zajęli Rosjanie. Nazwali swe pułki, złożone z Czeremisów, Wotiaków, Wielkorusów, Chińczyków, Łotyszów i innych, imionami miast polskich — pułk wileński, lubelski, warszawski, siedlecki — i temi pułkami, niby polskimi, obsadzili kraj. Zauważcie, przyjaciele, jaka w tem chytryść moskiewska.

Wszyscy w Polsce patrzą na Lwów i mówią do siebie głośno:

— Panowie, pomocy trzeba dla Lwowa! Krew tam się leje. Żeby tylko zdążyć z odsieczą.

Komendant zaś szepce cichutko do siebie.

— Jeżeli teraz, kiedy moje wojska przechodzą jak przez masło przez oddziały bolszewickie, nie wezmę Wilna, kto wie, kiedy wezmę to miasto miłe. Bez Wilna nie będzie wielkiej Polski. Tylko przez złączenie się z tem świętem miastem Polska stała się niegdyś wielką i tylko z niem taką samą może się stać ponownie.

Rozważa samotnie przez zimę tę sprawę Wódz Naczelny.

Jedzie do Lwowa. Przygląda się sprawom, ludziom, wojnie.

— Nie — mówi. — Lwów wytrzyma z tem co ma. Wytrzymać musi. Najpierw wezmę kochane Wilno. Jeżeli tego nie uczynię, to ci, co teraz zebrani w Paryżu rysują na mapie granice państw, a mieczem sobie takie prawo przyswoili, już mi Wilna wziąć nie pozwolą. Gdy zaś to miasto zdobędę, nikt mi już zapłaconego krwią nie wydrze. Tylko przez krew może się Wilno zrosnąć na wieki z Polską.

Gdy to Komendant wreszcie powiedział półgłosem czy też może „leguny kucharkom powiedziały“, a te swoim paniom, a ich panie swoim mężom — powstał wrzask. I ten i ów, i cały sejm, i dowódcy frontów mówią: — Nie może to być, Panie Komendancie. Najpierw Lwów trzeba ratować. Potem o Wilnie. Potem! „Jak nadejdzie prawdziwe wojsko z Francji“. Najpierw ratujmy ze śmiertelnego uścisku Lwów. Czerwoną plamą na mapie jest oznaczony, bo krew tam codzień płynie.

Wzruszył ramionami „chytry Litwin“ Piłsudski.

— Gadajcie sobie co chcecie, a ja swoje zrobię. Wilno musi być moje. Jak najwcześniej, na wiosnę.

Wiosna się spóźnia w tym 1919 roku. Tem lepiej. Więcej czasu na przygotowanie.

Na święta Wielkiej Nocy rozjadą się politycy, gadyły sejmowe — wówczas dobra będzie pora sprawy dokonać.

Tak się stało; oni pojechali na wypoczynek, a Komendant do krwawej pracy w stronę Wilna.

Jadąc, myślał o Wilnie... i o Lwowie, mieście wilka i mieście lwa.

— Lwów wytrzyma — pocieszał swą duszę. Szczęście Komendanta nie zawiodło. Lwów naprawdę wytrzymał.

28 kwietnia Niemcy zapowiadają swoje odejście z Grodna. Pięć dni drogi mają do niego czerwoni, którzy stoją w Lidzie, Słonimiu i Baranowiczach.

— Do 23-go muszę więc zdobyć Wilno — rozważa Komendant — inaczej będzie za późno. Jak czerwoni zajmą Grodno, to wówczas trudno będzie coś zrobić.

Do Wilna prowadzą drogi: przez Grodno najbliższa, przez Lidę dalsza, wzdłuż toru kolejowego.

Ponad 100 kilometrów od frontu do Wilna.

Wiosna, błoto na drogach i mosty popsute. A tu szosy do Wilna przecież niema.

100 kilometrów — daleka to droga, jak na jeden skok poza front czerwonych.

— Wilno musi być moje! — o niczem innem już nie myśli Komendant.

— Szaleństwo, mon ami! — mówi przyjaciel Komendanta, generał francuski, co zęby zjadł na wojnach — szaleństwo!

— No tak, szaleństwo. Ale czyż życie Józefa Piłsudskiego — myśli Komendant — nie jest jednym pasmem takich szaleństw? Student medycyny, katorżnik, wódz legjonów, więzień Magdeburga, Naczelnny Wódz i Naczelnik Państwa. Przepaście i szczyty.

— Wilno musi być moje. Od Grodna się zastanę, od tych Niemców, co tam jeszcze siedzą, czy tych jakichś Rosjan, co są tam wpobliżu i z nimi się wchają. Na Lidę uderzę i gdy ją wezmę, będę miał kolej do Wilna. Dalej też na południu każe nacierać, żeby mi stamtąd czerwoni nie mogli się poruszyć. Resztę zobaczymy. Trwoga i niepokój mnie ogarnia, gdy rozważam, jak sprawę poprowadzić, lecz siła i spokój wstępują w me serce, gdy do wykonania przystępuję.

— Gdzie jesteście, o moje Legjony! Moi chłopcy, przyjaciele! — płacze dusza Komendanta w noc samotną. Wróg was rozproszył po więzieniach i dalekich frontach. Lecz nic to. Wy, co życie zachowaliście, stajecie do szeregów na krzyk powstającej Ojczyzny: „do broni!“.

— Pierwsza dywizja legjonowa. Tu was się najwięcej zebrało, starych kamratów, co ze mną wiele dróg w bojach przeszliście. Wy ze mną pójdziecie, „najlepsze“ moje wojsko, odbierać miasto miłe.

— Pójdą ze mną „najlepsi“ wodzowie, legjoniści, Śmigły, dowódca piechoty. Śmigły zawsze spokojny. Belina jazdę poprowadzi, drogę będzie otwierać.

— 100 kilometrów! Wilno musi być moje!

Pod Lidą wyładowują się bataljony. Sześć bataljonów dopiero co zebranych. I to ma być wojsko „najlepsze“? Legjonista stary zdarza się w niem jak rodzynek w cieście. A reszta, pożał się Boże, same dzieciuchy. Rekrut, co nie umie chodzić, któremu karabin przeszkadza, a plecak go przewraca. A tabory — jeden płacz. Skąd się w nich nabrało tylu chłopaków z miasta, co nie wiedzą nawet, jak powozić trzeba?

I z takim wojskiem Komendant chce brać Wilno?

Czy nie mają słuszności ci, co mówią: „szaleństwo!“ i ci co mówią: „Trzeba poczekać na porządne wojsko z Francji“.

Przekonajcie, jeżeli kto potrafi „upartego Litwina“ Piłsudskiego

— „Mus mnie wołać Raz, a nie więcej dokoła!“ — powtarza.

Komendant przecież jedzie na egzamin. Z brygadjera, z dowódcy Legjonów (garstki w morzu wojsk) skoczył wysoko, aż na Naczelnego Wodza. Wilno będzie jego egzaminem na tego Naczelnego Wodza. Tak sobie umyślił i postanowił. Chce zrobić to, czego nikt nie zdoła. Szuka nadzwyczajności, żeby je zwyciężyć.

A zarazem będzie to egzamin dla jego uczniów. Na odprawie w Skrzybowcach, 15-go kwietnia, niewiele potrzebuje im tłumaczyć. Wlot pojęli.

— Miasto musi być moje na Wielkanoc! Hę, rozumiecie? Was dlatego wziąłem, a nie kogo innego. Macie mi dać prezent na Wielkanoc. Wiem, wiem, co mi powiecie. Wy, Belina, że wam brak owsa, że nie możecie bez niego ruszyć, że połowa waszych szwoleżerów nie wie, z której strony do konia się podchodzi. Wy, Śmigły, że nie macie ani butów ani menażek i że wasza piechota z miednicami pod pachą chodzi, że ma plecaki z worka starego albo też z płachty mundury. Wiem, wiem, że jeść nie bardzo co macie i jest bieda. Ale o tem w historii mowy nie będzie, nie starczy tam miejsca na głupstwa, a tylko na opowieść o tem, że Wilno wzięliśmy. Naprzód, moi „najlepsi“ dowódcy!

Odchodzi Śmigły. W drodze do swych bataljonów, których miało być dziewięć, a jest sześć, i nie sześć, a cztery, bo dwa jeszcze nie nadciągnęły, tak myśli:

— Cóż to za miasto, że Komendant je tak kocha? Jakiż zachwyt w niem mieszka? Nie słyszałem, żeby kto tak kochał miasto rodzinne.

Siedzi w nocy Śmigły na kwaterze w starym dworcu, krzewami obrośniętym, błądzi wśród wilgotnych drzew ogrodu, „szukając Mickiewicza w jego Ojczyźnie“, i myśli o Wilnie.

Nie wie, że długie lata nakaze mu Komendant stać na jego straży i wojsko swe „najlepsze“ tu osadzi. Tego jeszcze nie wie Śmigły. A Komendant to już sobie umyślił w Magdeburgu. A przedtem jeszcze kasztance obiecał, gdy się spłoszyła na widok krakowskiego tramwaju, że pojedzie do takiego miasta, gdzie nikt na nią z daleka dzwonić nie będzie. W Wilnie tramwaju niema.

16 kwietnia, w Wielką Środę, wszystko rusza na północ.

„Wielkanocną porą bataljon za bataljonem, szwadron za szwadronem, pośpieszają do Wilna“.

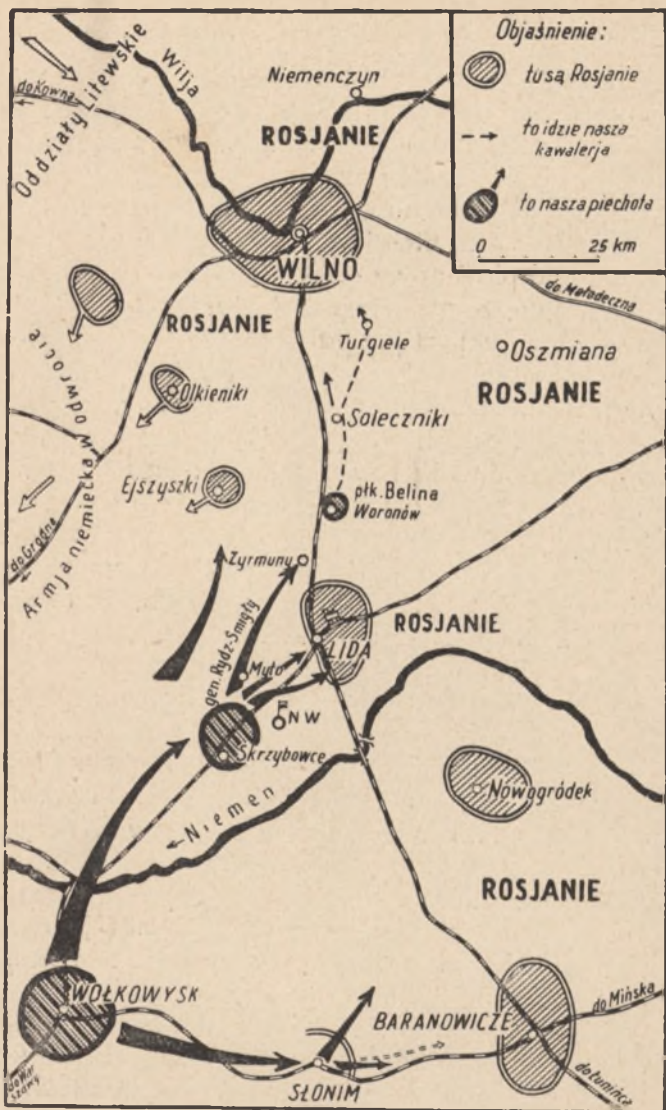
„Pogwarka idzie wśród wiary. Komendant nasz Wilno kocha. Na Wielkanoc Wilno w prezencie mu damy. Prezent wspaniały“.

O świcie przodem wychodzi w 800 szabel i dwa działa Belina. Ma drogę oczyścić i pierwszy, jak orzeł na zdobycz, na miasto niespodzianie spaść.

Na moście Komendant żegna kawalerję. Każdy szwoleżer wie, że Komendant jest przy nim. Żegnają Go stare ułany w różnych portkach i mundurach, ze wszystkich wojsk zebranych, i młode rekruty, co wojny jeszcze nie wachały, ogromnym krzykiem: „Niech żyje Komendant Piłsudski!“ I z tym ostatnim okrzykiem mkną ku swemu przeznaczeniu.

Śmigły wnet też wyrusza. Krok 2500 ludzi walecznych zadudnił za nim po deskach mostu. Jednocześnie zahuczały baterje. To rozpoczęło się natarcie na Lidę.

Belina idzie naprzód. Śmigły idzie naprzód. A inni walczą o Lidę, żeby im bok osłonić. Lecz nic z tego



Wyprawa wileńska w kwietniu 1919 roku.

Polacy idą na północ „do ziemi Mickiewicza”. W ostatni dzień marszu „Wódz Naczelny... nie chciał jechać, wolął iść, potykając się na korzeniach wśród wrzosowisk i jałowców. Chciał (czuć pod nogami) ziemię, za którą tak tęsknił... chciał potrącić nogą szeleszczące wrzose, zawadzać płaszczem o gałęzie jałowców.”

Gdy jedni idą na Wilno, inni zabawiają tych Moskali, co są w Słoniemiu i Baranowiczach.

natarcia. Na wstępie czerwona pancerka spotyka piekielnym ogniem zdumionego rekruta. To tak wojna wygląda. Dzielnie idzie rekrut naprzód, lecz prażony pociskami, cofać się poczyną.

Ci zaś, co idą na Wilno, przyspieszają kroku i coraz bardziej cichnie dla nich bój pod Lidą. Nagle dobiega uszu Śmigłego piorunowy łoskot. Co to? Nikt mu narażie nie powie, że to nasz pocisk wyrznięt w pancerkę, w wagon z amunicją, i już pancerka zmyka z trupami.

Ale co to Śmigłego obchodzi? Idzie na Wilno. Dziwi się tylko, że nie nadchodzą dwa bataljony, które za nim miały podążyć. Nie wie, że Wódz Naczelny, widząc zatrzymanie pod Lidą i wahanie się naszych, tam je pchnął do natarcia. Lida jest otoczona z trzech stron, ale nie wzięta. Jest wieczór.

Bataljon za bataljonem, szwadron za szwadronem, do Wilna pośpieszają. Są już tak daleko, że nie dochodzi do nich głos boju o Lidę.

O nieszczęśliwa ty drogo na Wilno! Trakcie z Myta na Żyrmuny i Soleczniki do Wilna miłego. Przez kraj ubogi podążasz, za nic, zaprawdę, pochwalić cię nie można. Omal, że przez ciebie wszystko się nie zwichnęło i Wilno, miasto miłe, nie przepadło. Z początku chciałeś w błocie zatopić nogi naszych koni i żołnierzy, a dalej kazałeś im grzęznąć w piachach. Tak nieprzychylnie witałeś panów swoich, o drogo!

Wozy się w tobie zapadały. Wierzchowce po brzuchy brodziły w czarnem bagnie, działom dwadzieścia koni rady dać nie mogło. Kuchni nie puściłeś i świeżo upieczeni kucharze rozbierać je musieli. Koło każde oddzielnie przenosić. — Ciężka to jest rzecz być kucharzem! — wzdychali, a ty obojętnie słuchałeś. Nie poznałeś swoich.

Piechota wydarła się naprzód i boczkiem, steczkami dopadła po 30 kilometrach marszu wsi Żyrmuny. Na głodnego wojsko powaliło się spać. Wilno nawet zaprzestało się śnić młodym żołnierzom — tak twardo chrapiały.

Zła droga zatrzymała wozy, a z nimi żywność. Taborzy nocowały na polu. Obroki nie nadeszły.

Głodno się zapowiadał Wielki Czwartek. Nie wiadomo, kiedy żywność i furaz nadciągną tą drogą.

— Co dalej czynić? — myśli Śmigły, a podobnie Belina.

Ludzie i na głodno pójdą, ale konie? Trzeba nam stać jutro, czekać, aż coś dociągnie. Niema rozkazu od Naczelnego Wodza. Niewiadomo co z Lidą. Przekłęta ty drogo! Białe brzozy nad tobą szumią.

Po latach, usłyszał Komendant ponownie znany sobie świst kul. Kule pod Lidą śpiewają pieśń śmierci... Myśl leci ku dawnym wspomnieniom.

Znów myśli Komendant o starych przyjaciółkach:

— Chłopczy, wy, co w dalekich grobach leżycie. Słuchajcie, oto wasze marzenia się spełniają. Wasz Komendant jest wodzem Polski, bądźcie z nim, niech duch wasz towarzyszy moim żołnierzom. Dajcie mi Wilno na święto Wielkiej Nocy.

Nadchodzą wieczorem „rozpaczliwe” wiadomości od Śmigłego o złej drodze, o stanie jego nieszczęsnej piechoty, o ugrzęzłych taborach, głodnych koniach i ludziach, o tem, że wstrzymuje swój marsz.

— Dobrze zrobił — myśli Komendant. — Tak samo postanowiłem. Najpierw trzeba wziąć Lidę. Niech Belina i Śmigły zaczekają.

— Jestem przez nieprzyjaciela zatrzymany — rozważa Komendant. — Czy na długo?

O przyjaciele moi, w dalekich grobach leżący...

No, na szczęście, Wielki Czwartek zaczyna się dobrze. Nieprzyjaciel nie wytrzymał i choć nie naciskany od wieczora, odszedł nocą z Lidy na wschód. Wiozą nasi do miasta furaz, żywność i amunicję, naprawiają tor na Wilno.

A głodne wojsko Śmigłego stoi na drodze. Tak samo czeka Belina do południa. Zastępowali gdzieś ułani, że w Solecznikach Wielkich jest owies. To po drodze. Naprzód tedy do Solecznik. Późnym wieczorem dorwały się konie do tego owsa. Jest go, na szczęście, w bród w pękatych workach.

Śmigły otrzymuje wieczorem rozkaz Wodza Naczelnego, żeby szedł dalej. Lida wzięta.

Wyrusza o świcie. Przechodzi 35 kilometrów. Tymczasem Belina karmi dobrze konie i odpoczywa. 19-go, w Wielką Sobotę, pragnie uderzyć na Wilno. Bataljony Śmigłego są jeszcze za nim daleko. 50 kilometrów będą od miasta o świcie w Wielką Sobotę.

Co robić? waha się Belina. Niema od Komendanta rozkazu. Ugrzązł z nim goniec gdzieś w drodze. Idzie Belina strzelać do celu na losy, żeby oderwać myśl męczącą.

Rusza naprzód. Trzeba zaskoczyć nieprzyjaciela, wówczas i mała siła stanie się na chwilę wielką.

Matko Boska Ostrobramska, miej tych wojaków w swojej opiece! Dla Twojej to sprawy idą.

W Wielką Sobotę nocą parskają konie na trakcie z Solecznik. — Zdrow! zdrow! poklepują je jeźdźcy. Ludzie idą z Wilna.

— Dla Boga, to nasi. Nasi! — powtarzają ze łzami. Daleko do Wilna? — pytają jeźdźcy.

— Ot zaraz, za górką.

Nikt z oficerów jeszcze w Wilnie nie był, a i niewielu ze szwoleżerów i ułanów.

Stają nad krawędzią doliny wileńskiej.

Wdole pod nimi, w mroku, błyska skąpo ogniami latarni miłe Wilno. Noc jeszcze nad niem.

Stoją szwadrony na krawędzi. Padają ciche słowa rozkazów. Temi, owemi drogami śpieszą wdół. Ludzie z miasta, przewodnicy, sami z ochoty, prowadzą ich na koszary, gdzie śpią oddziały czerwonych.

Tętent koni na bruku. Huk strzałów. Budzi się miasto. Co to jest? Dlaczego?

— Polacy w mieście! — Otwierają się okna. Słychać radosny krzyk.

— Polacy w mieście! — Na trwogę gra w koszarach rozpaczliwie jakaś trąbka.

— Polacy!

— Nasi!

— Polacy!

— Nasi! Nasi!

Naciera Belina. O godzinie 5-ej zajął dworzec.

Zbierać śpiesznie każe lokomotywy i wagony, trzeba słać pociągi po piechotę.

Cały dzień trwa bój na ulicach. Nieprzyjaciół, ochłonięwszy z przerażenia, poznaje, że napadła go kawalerja i w niezbyt wielkiej sile. Czerwonych jest kilka razy więcej. Rozproszyli się kawalerzyści po mieście. Doszło im do pomocy kilkuset robotników kolejowych i drugie tyle ochotników wzięto za broń, lecz mało tego jest. Czerwoni poczynają dobierać się Polakom do skóry. Naprawdę, zaczyna być wcale nie wesoło.

Czarne myśli, jak kruki, chodzą po głowie dowódcy kawalerji. Przecież nie wytrzyma dwóch dni w Wilnie, zanim Śmigły z piechotą dojdzie. Jeżeli on nie pomoże? Rany Boskie, co będzie? I myśleć już nie chce pułkownik Belina.

No, nareszcie! Matka Boska Ostrobramska nie opuściła swoich! Wieczorem nadjeżdża pierwszy bataljon Śmigłego. Nareszcie! Chyba jak istnieje kawalerja, jeszcze nigdy nie radowało się tak jej serce, jak w tej chwili. Może jeszcze nigdy nie były tak szczerze i serdecznie serca ułańskie na wiadomość, że nadeszła piechota. Krzyczą z radości, całkiem jak małe dzieci, ułani, Krzyczy lud. Oto nareszcie coś pewnego. Piechota! Co weźmie, to utrzyma. Śmigły idzie! Niech żyje piechota!

Bataljon luzuje przemęczonych jeźdźców.

Noc jest w mieście i nie palą się latarnie. Głucho stukają pojedyncze wystrzały.

Dowiaduje się Śmigły, że nasza jazda już jest w mieście. Rusza z resztą swego wojska jej na odsiecz. Przez ten dzień — jest to pierwszy dzień Wielkiejnocy — niema większego boju. Obie strony czekają na posiłki, żeby na dobre zabrać się do przeciwnika.

W nocy dochodzi do miasta reszta piechoty.

Ogląda Śmigły miłe Wilno. Widzi je oczyma Mickiewicza i Komendanta, więc uznać je musi za „jedno z najpiękniejszych miast w świecie“.

Ale nie czas na zachwyty. Narazie trzeba walczyć.

O godzinie 5-ej rano rozpoczyna natarcie.

Czerwoni zamknęli się w poszczególnych ulicach. Strzelają z okien i dachów. Najdzielniej trzymają się przy placu Łukiskim i przy Zielonym moście. Włoką nasi rękami działa po ulicach i strzelają z nich na sto kroków, kruszą mury.

O godzinie 16-ej Śmigły wypiera z miasta nieprzyjaciela, który, bojąc się osaczenia, umyka.

I dywizja Legionów otrzymała swój chrzest bojowy i rekrut jej stał się żołnierzem.

Wilno miłe jest nasze! Prezent wspaniały na Wielkanoc. Chrystus w ten dzień zmartwychwstał i Wilno też z nędzy obcego jarzma się wydarło.

Jakież to wielkie rzeczy, koledzy, za naszej pamięci się dokonały! A są tacy ludzie, co myślą, że w szarych i smutnych czasach żyjemy. Większych przecież jeszcze nigdy naród polski nie miał.

Zdobycznym pociągiem wjeżdża Komendant Piłsudski na dworzec do zdobytego Wilna. Huczą trąby „Jeszcze Polska nie zginęła“. Wita Komendanta Śmigły raportem. I słów nie potrzeba. Drży twarz Komendanta ze wzruszenia. I drżą twarze wszystkich — „najlepszych“ uczniów i oficerów „najlepszego“ wojska.

Rozwiera się szyk kompanji honorowej.

Wódz Naczelny konno wjeżdża do Wilna. Za nim jedzie Śmigły, obok, przed Komendantem i za Nim, szwoleżerowie, ułani. Witają go słodkie pieśni dzieci, trwożne oczy matek, łzy i wzruszenie. A on wjeżdża z takim uczuciem, jak do żadnego innego zdobytego miasta nigdy już wjeżdżać nie będzie.

Wilno przyjmuje Go w swem bezgranicznem ubóstwie i w bezgranicznej miłości. Ludzie śmieją się, płaczą, rzucają kwiaty. „Gdyby mogli, rzucaliby serca pod kopyta końskie“.

Złożył egzamin. Ukochane drogie Wilno! Miasto Mickiewicza i Słowackiego, których stopy wędrowały po tych borach i łąkach, tak znanych i tak ukochanych...

Złożyli egzamin uczniowie. Uczył ich Komendant nietylko tajników dowodzenia, ale również jak mają kochać Wilno, Jego miasto, miasto Wodza, najpiękniejsze w świecie.

Przyjaciele moi, jeszcze nie koniec opowieści. Wilno jest zdobyte, lecz kto je utrzyma. Po zwycięstwie, należy szczerzej dopiąć hełm i dalej sprawy bronić.

Mistrz zaprojektował, założył fundament, wyciągnął zrab ku górze, lecz kończyć daje pierwszemu czeladnikowi, co u niego odbył termin. Nie jeden raz tak będzie. Nie jeden raz Śmigły wykończy rozpoczętą przez Wodza Naczelnego robotę.

Wysłucha nabożeństwa w Ostrej Bramie Naczelnny Wódz, podziękuje Matce Boskiej za Wilno, poczem powie do Śmigłego:

— Czas na mnie. Muszę wracać do stolicy. Zostawiam najdroższe moje miasto wam pod opiekę. Macie nad niem czuwać, jakbym tu był sam.

Wie Wódz Naczelnny, że praca wojenna wcale tu nie jest skończona. I wszyscy o tem wiedzą.

Odjeżdża Wódz Naczelnny pełen radości z Wilna.

Ze wzruszeniem pisze rozkaz pochwalny:

„Żołnierze!

W niespełna dwa tygodnie męstwem swem i dzielnością zmieniliście stosunki na wschodzie Polski. W niespełna dwa tygodnie przerzuciliście zagrażający nam front o dobrych kilkadziesiąt kilometrów naprzód.

Wróg pobity pierzcha na wszystkie strony.

W imieniu Ojczyzny, dziękuję Wam za Waszą pracę... Każdy z Was może być dumny, że brał udział w kampanji wileńskiej. Szczególnie też dziękuję... generałowi Rydzowi-Śmigłemu, który mimo wielkich przeszkód, doprowadził na czas dywizję do Wilna i wygnał wroga ze stolicy...”

Tu zatrzymał pióro Komendant. Wilno jest stolicą. Czego? Prawda, Wielkiego Księstwa Litewskiego. O wielkości dla Wilna marzy Komendant.

Wilno, lipiec 1919 roku.



Na uroczystości wręczenia przez Naczelnego Wodza sztandaru 1 pułkowi piechoty Legionów, najstarszemu pułkowi Rzeczypospolitej, którego pierwszym dowódcą był major Śmigły. Naczelný Wódz Józef Piłsudski i generał Śmigły przyglądają się pułkowi.

Pozostaje w Wilnie Śmigły i, jak zwyczaj dobry wodzowi każe, rozgląda się na wszystkie strony, rozpoznaje i rozważa.

Czerwoni, wyrzuceni z miasta, niedaleko odeszli. Wywiad i patrole mówią, że w trzech stoją grupach. Sztab Śmigłego liczy. Na południowym zachodzie, na Mejszagołę, jest ze 3000 bagnetów. Na południowy zachód, na Podbrodzie, coś ze 4000, a na wschodzie — najwięcej, 4500 bagnetów i 3 000 szabel. Razem 11 500 bagnetów. Piękna liczba. Toć Śmigły niema nawet połowy tego żołnierza. Z kotła je wszystkiego 6000 piechoty i 1 000 kawalerzystów pułkownika Beliny.

Ma Śmigły przyobiecana pomoc, ale narazie tem, co ma, musi Wilno kochane Komendantowi obronić. Nie ryje więc okopów i nie umacnia miasta. Jeżeli będzie czekał, aż nieprzyjaciół przyjdzie, to nie da rady miasta utrzymać. Skądkolwiek nieprzyjaciół przyjdzie, zawsze będzie na górze, a obrońca wdole, bo w głębokiej kotlinie leży Wilno.

Śmigły postanawia wyjść naprzeciw nieprzyjaciela i rozbić kolejno wszystkie jego grupy, zanim zejda się na przedmieściach miłego Wilna.

Dlatego osłania się generał ze wszystkich stron, osłania się częścią swoich sił, lecz większość żołnierzy trzyma w kupie.

Zobaczycie, co z tego zamiaru wyniknie, czy się ta śmiała sprawa powiedzie.

Najżywiej coś działać poczyną nieprzyjaciół z północnego wschodu. Najbardziej mu się widać śpieszy do grobu. Tu więc Śmigły najpierw rzuca swe dwa niezawodne bataljony. W Niemenczynie napotkali nasi jakieś straże tylne. Czy wracać? O nie, musimy czerwonych dostać. Nie wrócimy na sucho. Więc

naprzód! Czerwoni są w Podbrodziu. Jak daleko? 30 kilometrów. W nocy z 28-go na 29-go doszli nasi do Podbrodzia. Pięknie się im zdarzyło. Nabrali jeńców. Czerwoni dali dęba. Za dnia patrole już o 20 kilometrów ich nie znalazły. Pięknie, bardzo pięknie, ale czy Śmigły jest zadowolony? Daleko zawędrowały te bataljony, 50 kilometrów drogi mają do Wilna. A do miłego miasta już podchodzi drugi nieprzyjaciół ze wschodu.

Lecz czy może Śmigły powiedzieć ostre słowo, zganić tych żołnierzy, co za wszelką cenę dążyli do wykonania rozkazu i wroga pobili? Nie w Niemenczyne, to w Podbrodziu, ale pobili.

Zwycięzców się nie sędzi — mówi prawo wojny. Wodzowie, którzy je przestrzegają, są miłowani przez swoich żołnierzy.

Nieprzyjaciół od wschodu, z Oszmiany, jest już pod miastem. Wyparł nasz bataljon z Nowej Wilejki. Uwaga! Czy ten nieprzyjaciół nie przerwie nam połączenia z Lidą? Już pod miastem, na górkach, wreszcie go nasi zatrzymują.

W tej chwili nadchodzi wiadomość, że trzeci nieprzyjaciół, z Mejszagoły, ruszył się i wali na Wilno.

Ciasno się robi w miłym Wilnie. Całkiem ciasno, choć miasto prawie ćwierćmiljonowe.

O świcie 29-go Śmigły sam jest na polu bitwy, naciera i odpędza drugiego nieprzyjaciela. Z odległości 10 kilometrów od miasta sam zawraca bataljony do Wilna. Oh, żeby zdążyć!

Czas, najwyższy czas! Chwała Ci, Matko Ostrobramska, że ten trzeci wróg, z północnego zachodu, spóźnił się o dobę. Ale teraz już jest pod miastem, w Fabjaniskach. Dwa śmiertelnie znużone szwadrony, co go od świtu opóźniały, walczą tu zaciekle. Pęka jednak ta słaba zasłona pod uderzeniem czerwonych.

Droga do Wilna, do środka miasta, jest dla nich otwarta! Całe ubezpieczenie z tej strony — to plutonik piechoty i kilka placówek. Brzeg rzeki między mostami pośpiesznie obsadzają ochotnicy z bataljonu zapasowego, którym w tej chwili rozdano zdobyczne karabiny rosyjskie. Na mosty zatoczono działa.

Zobaczymy, co będzie. Najlepsze wojsko czerwone tu naciera. Ma rozkaz za wszelką cenę odbić Wilno.

Śmigły już dawno postał do tych, co są w Podbrodziu, rozkaz: wracajcie!

Nadchodzi ciemna noc. Około godziny 2-ej, jakiś oddział nieprzyjacielski podsunął się parowem na skrzydło jednej z naszych kompanij, złożonej z rekrutów. Nie wytrzymały dzieciuchy uderzenia na bagnety. Pobiegły. Wykłuli nam czerwoni dwie obsługi karabinów maszynowych.

W głąb miasta jednak nie weszli. Bali się boju w nocy, w mrokach. I dlatego przegrali. Rankiem Śmigły choć niewiele, ale ma coś w ręku.

Ze wschodu niewiele dało się wziąć, ledwie kilka kompanij. Nieprzyjaciel został tam odrzucony, ale nie rozbity. Jak się powiedzie czerwonym z północy, to ten ze wschodu wlezie Polakom na boki i tyły.

Zeskubał jednak Śmigły coś ze wschodu, zebrał to co było w mieście, i to, co nadciągnęło z Podbrodzia. Niewiele było tego wojska, ale wiele miało serca. Uderza niem generał na północny zachód. Zaskoczeni natarciem, czerwoni pierzchają.

No, nareszcie nadchodzą posiłki. Śmigły ściga wroga, zajmuje Mejszagolę i Podbrodzie. Czerwoni wynoszą się z tych okolic zupełnie. Od zachodu nadchodzą Litwini, nie mają tu więc Moskale już nic do roboty.

Dobrze się teraz poczuł Śmigły. Pewnie siedzi w siodle. Zawraca na wschód. Pcha czerwonych przed sobą i oczyszcza kraj na 50 kilometrów od Wilna, aż po Soły.

Nieprzyjacieli z Podbrodzia, ten najpierw uderzony, wobec tego również nie zamierza się opierać. Odchodzi na Święciany.

Bój o Wilno jest zakończony.

Śmigły pisze do Wodza Naczelnego list:

„Sądzę, że zrobiłem co mogłem zrobić. Plan nieprzyjaciela był dobry, ale wykonanie zawiodło. Atak z północy spóźnił się o jeden dzień.

„Różnice w czasie pozwoliły mi rozbić po jednym przeciwników. Szybko się uporałem z każdym i przetrącałem siły na następnego. To był mój ratunek.

„Nie mogłem jednak dobrze wykorzystać zwycięstwa, nie starczało czasu, musiałem zaraz swe siły wycofywać, żeby walczyć gdzie indziej“.

„Żołnierze zmęczeni się ogromnie marszami i bitwami...”

Taki jest w krótkich słowach meldunek generała Śmigłego o utrzymaniu miłego Wilna.

Ustanawia Śmigły krzyż prosty. Napis na nim: „Wilno — Wielkanoc“. Mają prawo go nosić ci, co w prezenzie Wodzowi Naczelnemu miłe Wilno dali. Nie wszyscy go jednak będą nosić. Nie wszyscy!

Jest w Wilnie na zboczu góry cmentarz. Zwie się Rossa. Tam na tej Rossie, u wrót cmentarza, leży mogiłka za mogiłką, a w nich ci, co odznaki Wilno — Wielkanoc nosić już nie będą. Leżą ci, co życie dali, o przyjaciele, żeby Komendanta serce pieścić.

Lecz gdy Wódz umierał, syt czynów i chwały, to nie gdzie indziej, a wśród tych żołnierzy serce swoje

złożyć nakazał. Leży ono u stóp tej, co mu życie dała, u stóp Matki, tam pośród tych żołnierzy. Słuszną jest rzeczą, żeby spoczęło ono z tymi żołnierzami „co mogli tak pieścić dumnego Wodza czoło, co mogli tak życie dawać Jemu dla prezentu...”

Gdy klękniecie przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej w Wilnie, żołnierze, przyjaciele, spojrzycie na votum Wodza, na serce z napisem: „Dziękuję Ci, Matko, za Wilno...”

Pomyślcie, jak dziwnej i niezwyklej miłości jest ono świadectwem.



DALEKIE DROGI.

Wilno — mówi Wódz Naczelny — jest stolicą.

Ze stolicy wszędzie prowadzą dalekie, okólne, żołnierskie drogi. Idzie niemi Śmigły, przez ziemię Mickiewicza i Piłsudskiego, na wschód i na północ. Wojuje kraj po Połock i Dyneburg. Wypędza Rosjan i w drobnych potyczkach ucisza Litwinów.

Upływa mu cały rok 1919 w tej znoej pracy, w marszach i natarciach.

Stąpa po drogach, po których niegdyś kroczyli żołnierze Napoleona w roku 1812, grając, według słów poety, barwami „jak stada gilów, siewek i szpaków, stada jasnych kit i chorągiewek“. Wiatr dawno rozwiął proch ich zbutwiałych kości.

Żołnierze polscy z roku 1919 szukali w piasku odcisku ich stóp. „Długość naszego kroku nie jest mniejsza“, niż ich — stwierdzali z dumą. „Byle raz trafić w ślad, to już później pójdzie dobrze“ na tych drogach zwycięstwa. „Te brzozy wojskom Napoleona się przyglądały, a teraz patrzą na nas — mówi Śmigły. — Wiem jednak dobrze, że gdy dla tamtych tu kończyła się droga zwycięstw, to dla nas się ona zaczyna“. I brzozy o tem wiedzą.

Jest wiosna i sok z nich spływa, sok wiosny.

Kiedyś później, jak będzie więcej czasu, wrócimy do tej opowieści o lecie, jesieni i zimie 1919 roku, teraz zaś śpieszę się, bo chcę jak najprędzej opowiedzieć wam, koledzy, wielką wyprawę, która jest jak bajka, choć wszystko, co opowiadam, to prawda najprawdziwsza.

GROŻNA „ZIMA“.

Jest kraj za Dźwiną, zwie się Letgalja. — Łotysze błagają o pomoc Polaków. — Wódz Naczelny daje im więcej, niż marzą. — Daje im Śmigłego i dwie dywizje Legjonów. — Dywizje idą na północ. — Śmigły zdobywa Dyneburg. — Ściga bolszewików, którzy się zdołali wymknąć z miasta. — Rozbija jedną po drugiej dywizje bolszewickie. — Zawzięty opór Rosjan na przygotowanych pozycjach. — Straszliwe mrozy. — Kto wytrzyma? — Pogrom bolszewików. — Polacy dochodzą do rzeki Siniuchy i ustalają wschodnią granicę Łotwy. — Śmigły czuwa nad Łotwą do wiosny.

„Za naszą wolność i waszą“.

Na północ od Wilna, daleko poza rzeką Dźwiną, nad morzem Bałtyckiem, leżą ziemie, które niegdyś należały do Polski. Zwano je Inflantami. Nie puściły nas tam we wrześniu 1919 roku narody zachodu Europy, które wierzyły, że Rosja się jeszcze odrodzi. Mieszkają tam w Inflantach Estończycy i Łotysze. Kiedy wszystkie narody poczęły się budzić do życia, i oni zapragnęły własnego państwa, chociaż nigdy go jeszcze dotąd nie mieli. Po upadku Rosji, jesienią 1919 roku ogłosili swoją niepodległość. Jednak w Rosji zmienili się tylko władcy, nic więcej; białego cara zastąpili czerwoni carowie — bolszewicy. Ci runęli z wojskiem na te małe ludy, żeby je zgnieść i zdusić, słabe zaś ich pułki wrzucić do morza.

Estonji, dalej od nas położonej, po krótkich walkach powiedzieli bolszewicy: uczynicie z nami pokój. Litwa również pragnie go zawrzeć.

Co ma wtedy czynić Łotwa? Cały naród liczy ledwie trochę ponad milion ludzi. Niewiele. Wojsko też niewielkie. Jest już wyczerpane i znużone. Musiało oczyścić swą ziemię z resztek Niemców, którzy po przegranej wojnie na zachodzie ruszyć się stąd nie chcieli, myśląc, że chociaż tu byłoby dobrze zostać. Musiało też to wojsko łotewskie walczyć z bolszewikami. Ale widać — nie da im rady. Gdzie szukać pomocy? Najbliżej jest Polska, polskie oddziały stoją nad Dźwiną, przed Dyneburgiem.

W połowie października 1919 roku jedzie do Polski poselstwo łotewskie i błaga:

— Ratujcie nas. Wy jedni możecie nam pomóc. Nikt inny na świecie. Jesteśmy małym narodem, lecz pragniemy żyć wolni. „Odbierzcie wrogowi i... dajcie przyjacielowi“, mówi nasze przysłowie.

Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz polski, marszałek Piłsudski, pomyślał:

— Lepiej, żeby Polska w starej swojej inflanckiej ziemi miała wiernych przyjaciół, lepiej, żeby ten lud od prawieka ciemniony przez Niemców i Moskali był nam sąsiadem, niż żeby w naszych oczach mieli go pobić i gnębić bolszewicy.

Nie żąda też od Łotyszów niczego wzamian za pomoc. Polacy krwi swej nie sprzedają. Darować mogą. Już nieraz i nie dwa bili się za wolność obcych narodów. Na swych sztandarach pisali: „Za naszą wolność i waszą“.

Są w piśmie świętem słowa: „Rzuć w wodę chleb swój, a odnajdziesz go po latach wielu.“

Pewnie wspomniał je nasz Wódz Naczelny i powiedział:

— Damy Łotyszom pomoc. Wypędzimy bolszewików z nad Dźwiny, z Letgalji. Co zdobędziemy na nich, oddamy Łotyszom, bo są bez broni, bez amunicji

i bez płaszczy. Nam wystarczy sława i pamięć, która oby wiecznie nad wodami Dźwiny żyła o naszym czynie.

Tak powiedział i tak uczynił.

Na wodza wyprawy wyznaczył Śmigłego. Daje mu swoje najlepsze dywizje: pierwszą i trzecią legionowe. Dwadzieścia bataljonów piechoty, siedemnaście bateryj artylerji i dwa szwadrony kawalerji. Mało szwadronów, bo cóż po nich w kopnych śniegach?

Łotysze oddają generałowi dziewięć bataljonów, pięć bateryj i jeden szwadron.

Wyprawa nazywa się wspólna. Ale jakaż, pożał się Boże, ona wspólna. Przecież Polska daje Wodza.

Dajemy Wodza, którego nie odstępuje zwycięstwo, w którego żołnierz wierzy i za którego rozkazem idzie. A oprócz Wodza, jako się rzekło, dajemy najlepszego żołnierza, jakiego nasza Ojczyzna posiada w pułkach legionowych.

Wódz zaś ten i żołnierze, którym przewodzi, dają chętne serce. Cóż więcej ponad to dać możemy?

Celem zachowania sprawy w sekrecie przed wrogiem, ma się owa wyprawa nazywać „Zima“. Nie żadna kampanja dla oswobodzenia Letgalji, nawiązania łączności z Łotyszami, a całkiem krótko „Zima“. I już wtajemniczeni wiedzą, co znaczy, że dla „Zimy“ to i owo jest potrzebne.

Jest koniec grudnia. Mrozy coraz to większe. A śniegi takie wielkie, że się wyrównały z dachami chat. „Gdy dymy prosto wzbijają się płową smugą w błękitne niebo“, w pogodę oślepia słońce na polu.

Zbiera Śmigły z nędznych kwater, pełnych tyfusu i innych chorób, swe dywizje. Z ust do ust idzie pogwarka między żołnierzami: — Idziemy naprzód! I są pełni ochoty, choć mróz nie żartuje, a są marnie

odziani. Dokąd to idziemy? — Chyba na północ. Chyba jakieś sadyby ludzkie zdobywać. Bolszewicy siedzą teraz we wsiach i miastach. Jeżeli taka moc wojska się zbiera, jeżeli sam Śmigły nad niem, to nie o wioskę tu, koledzy, chodzi. Na wioskę uderza kompanja, na miasteczko bataljon, lecz gdy sam Śmigły uderza — to chyba na wielkie miasto.

Więc na Dyneburg. Sto tysięcy ludzi w nim mieszka. Więszego miasta nie masz tu nigdzie w pobliżu.

Poszeptuje wiara: — Idziemy na Dyneburg!

Już oddawna znajome to nam miasto. Widzieliśmy je za rzeką przez miesiące, jak się w niem wieczorem prędko zapalały światła, a gasty powoli nocą. Widzieliśmy jak rankami dymy wstawały nad niem. Kusilo nas to miasto. Chciałoby się je zbliiska zobaczyć. Jakie to tam domy, gdzie te światła się zapalają. Jacy to tam ludzie? Pewnie z upragnieniem na nas czekają. Och, do Dyneburga! Ugwarzają między sobą legjoniści. Ani chybi, tylko na Dyneburg Śmigły nas prowadzi. Już raz przecież, we wrześniu, mieliśmy wejść do niego.

A sam generał cieszy się jak dziecko z wyprawy.

— Dowodziłem dotąd wojskiem polskiem i zwycięstwo szło ze mną — mówi do siebie, jadąc saniami poprzez olbrzymie śniegi — zobaczymy, jak to będzie, gdy innem, łotewskiem dowodzić pocznę. Jak to sobie z niem dam radę? Jak to będzie z takim wojskiem, dla mnie nowem, państwo dla niego zdobywać. Trzeba mi działać z wielkim rozmachem, niech zobaczą, jak Polacy biją. Trzeba postawić dalekie cele i zdobyć je odrazu, obalić nieprzyjaciela i siąść mu na piersi, a nie po kawałeczku go odszczypywać. Z takiej drobnej roboty nicby nie wyszło. W tych śniegach i mrozach nie wytrzyma mój żołnierz długo, ani butów, ani kozuchów nie ma na taki mróz. Muszę prędko

iść i prędko pobić nieprzyjaciela. Inaczej zima nas zwycięży. Więc naprzód!

Parskają konie na pogodę, na zdrowie.

Jest pewny zwycięstwa i cieszy się Śmigły, że pójdzie na północ. Szlak to przecież znany Polakom. Już przed trzystu pięćdziesięciu laty tak jak dzisiaj Łotwa, wyciągnęli ku nam błagalnie ręce „kawalerowie miecza“, co mieli tam wówczas swe państwo. Jak dzisiaj, zagrożona im Moskwa. A później ileż to razy wojska Rzeczypospolitej podążały tą drogą na Inflanty, wzbraniając Moskwie dostępu do brzegów Bałtyku lub walcząc o te same Inflanty z potęgą szwedzką. Ileż tam naszych pobojowisk za Dźwiną, a z nich najślawniejsze kirholmskie, gdzie hetman Chodkiewicz w trzy tysiące koni zniósł osiemnaście tysięcy Szwedów.

W tej ziemi inflanckiej, której część południowa dzisiaj nazywa się Letgalją, Polacy przywykli do wielkich zwycięstw.

Szlakiem tych zwycięstw ma pójść Śmigły. Na północ! Drogą bałtycką!

Któż jeszcze przed rokiem mógł marzyć w Polsce, że zimą z 1919 na 1920 rok bagnety żołnierzy Legjonów oswobadzać będą inne narody.

Zawrotnie prędko w tych latach zmieniały się przeznaczenia ludów.

Drogi zawiane głębokimi śniegami. Jeden dzień odwilży je zlepił. Przemokły buciory żołnierskie. Wsie spalone częściowo, te co zostały — małe i brudne. A tu mróz wyłazi z pod ziemi, nadciąga z północy, ku której idzie Śmigły.

W drugi dzień Bożego Narodzenia schodzą z kwater zimowych pułki 1-ej dywizji legjonowej. Idą wąskimi, przetartymi przez sanki chłopskie, drogami.

Supną węzłem dwójkami w koleinach. Przechodzą zamarznęte bagna, łąki. Odetchnąć da się tylko w zaciszu leśnem.

Jeden bataljon o świcie przechodzi wielkie jezioro. Wiele tam jezior w tym kraju. Lód gruby, najcięższe działa wytrzyma, ale śniegu na nim nic a nic. Wiatr go zwał. Lód błyszczy jak wielka szyba, bo słońce ogromne i czerwone wychodzi z za ciemnego lasu. Mgły na brzegach z zimna się podnoszą i słońce chcą zakryć.

Huczy lód pod ciężarem idącego dwójkami mrowia ludzkiego.

Kiedy bataljon doszedł do środka jeziora, od wschodniego brzegu zerwał się wicher i runął na kolumnę. Wrogowi z pomocą przychodził. Wojsko nasze zamrozić chciał.

Wicher i mróz 25 stopni. Połowa żołnierzy i prawie wszyscy oficerowie odmrażają twarze. Uszy przyklejają się same do okapów hełmów, do żelaza. Szczęśliwy ten, kto miał wielkie trzewiki i mógł w nie napchać szmat i słomy.

Coraz to spojrzy kolega koledze na twarz, a ten ma już nos biały. Śpieszy kolega koledze z pomocą i chwyciwszy przygarść śniegu, gdzieś w szczelinie lodu zatajoną, twarz mu i nos zbielały trze.

Przyśpiesza kroku kolumna. Aby prędzej, aby do brzegu. Tam są ciepłe chaty. Tak mówią. Żwawo, naprzód. Chaty i baby przed wami. Do diabła z babami! Chaty! Chaty!

Stanęli na brzegu. Ten i ów przetarł oczy.

Niema wsi.

Niegdyś były chaty, ale je Rusek czy Niemiec popalił. Wilki tu teraz gospodarują. Spłoszone strzałami czołowej kompanji, umykają na wschód.

Więc dalej naprzód poprzez głębokie śniegi. Coraz to luzuje się czołowa kompanja, a w niej plutony przecierają koleinę w drodze zawianej do kolan.

Z ciepłych kwater zimowych, jak te wilki gnane rozkazem, idą pułki na miejsce zbiórki, skąd je dłoń wodza skieruje do celu.

Kuchnie grzęzną w śniegach, ładować je trzeba na sanie i naprzód. Tabory już dawno na płozach.

Naprzód, naprzód!

Pod kołami dział nie dudni ziemia, zasypana śniegiem, i nie drży pod krokami piechoty. Cicho po śniegu, jak widma, w dzień i noc suną Legjony. Na północ! Po zwycięstwo! Tam, gdzie każe Śmigły.

Na Nowy Rok ustawiają się przed rzeką Dźwiną dywizje legjonowe. 1-a, jako najstarsza, jest w środku i ma skoczyć na Dyneburg. 3-a, która dotąd czuwała nad Dźwiną — w prawo, od wschodu, wiernie ma towarzyszyć jej. Na lewo „grupa Turmont“ — pułk i 6 bateryj — która pilnie będzie czuwać, żeby nie-
pewni Litwini nie wyleźli 1-ej na skrzydło.

Żołnierze topią sadło i smarują niem twarze, nosy i uszy przed mrozem.

Przed frontem kompanij i bateryj odczytują rozkaz dowódcy wyprawy, generała Śmigłego. Wódz mówi:

„Żołnierze!

— „Macie uderzyć na wroga, którego od tyłu miesiący stale bijecie. Jestem pewny, że odniesiecie nowe zwycięstwo...“

„...Wiemy, że nie zawiedziecie zaufania Wodza Naczelnego, lecz, powiększając sławę swych dywizyj i pułków, pójdziecie nieodparcie naprzód“.

„Dywizje legjonowe mogą tylko zwyciężyć“.

„...Czeka nas uznanie Wodza Naczelnego i wdzięczność całej armji polskiej“.

„Więc naprzód!“

Popatrzyli legjoniści na siebie. Młode gęby, a stare wiarusy. Od Wielkiejnocy przecież ciągle idą naprzód.

Śnieg skrzypi pod nogami, a oni gadają do siebie.

— Te, słyszałeś dobrze, co Śmigły mówi — naprzód!

— A no naprzód. Z tego widać, że trzeba dobrze napchać brzuchy, później nie będzie kiedy.

Więc naprzód!

Brzeg Dźwiny obsadzają bolszewicy. Czuwają nocą, bo choć mosty jeszcze we wrześniu wysadzono w powietrze, lecz rzeka jest skuta grubym lodem. Coraz to rakietą wyprysnie wysoko w powietrze i oświecili kraj jakby umarli, jakby kraj wiecznej ciszy. Coraz to bzyka gdzieś kulka, bo to strzału nie słysząc, w śnieg wsiąka.

Jest dzień 3 stycznia. Odwilż znów. Coraz to śnieg poproszy. Rankiem rozszałe się burza śnieżna.

Pułki podchodzą do rzeki. Obiad już przed świtem, nocą jeszcze, wszyscy zjedli wraz ze śniadaniem. Żołnierz ma przy sobie broń, amunicję, konserwę i dwie paczki sucharów. Nic go nie obciąża, żeby lekko mógł gonić. Tornistry zostawił w taborach. W ciasnych ulicach miasta jeszcze będą zawadzać.

Wszyscy są pewni zwycięstwa. Przecież Śmigły powiedział, że mają zwyciężyć.

Przystanęły przed brzegiem bataljony. Kompanje w tyraljerach. Czekają na sygnał. Przeprawa niełatwa. Nie wszędzie rzeka zamarzała. Piechota idzie bez artylerji i wozów amunicyjnych. Te dopiero późno w dzień się przeprawią.

A na stacji kolejowej Kałkuny, naprzeciw Dyneburga, generał Śmigły czeka na świt. Chce z punktu obserwacyjnego zobaczyć i ocenić pracę żołnierzy, którym rzucił sygnał:

— Naprzód! Czekaj was uznanie Wodza Naczelnego.

Żołnierz nie bije się przecież ani o trojak ani o dziesiątkę, lecz dla honoru swego i słów uznania Naczelnego Wodza.

Taka jest największa nagroda dla prostej duszy żołnierza.

Zahuczały działa.

Jeszcze nie zdążył nadejść zmierzch krótkiego dnia zimowego, a już miasto Dyneburg, położone w szerokim zakolu rzeki, było w rękach Śmigłego. Usłyszano krzyk zwycięskich żołnierzy ze Złotej Góry, najwyższej w mieście, gdzie wielką rzeź sprawili.

Dzień był krótki, lecz bój gorący. Nie oddali Rosjanie Dyneburga za darmo. Żołnierz nasz uderzał bagnetem i wyparł ich kolejno z twierdzy, z dworca i z wąskich ulic starego miasta. Nieprzyjaciel bronił Dyneburga „do ostatniej chwili, mimo rozpaczliwego położenia“, lecz nie wytrzymał zwycięskiego naporu 1-go pułku piechoty Legionów.

Pędzony przez niego i czując, że nasi go obchodzą, nieprzyjaciel przed zmrokiem wycofał się. A że miasto jest wielkie, więc 1-szy pułk nie mógł mu w tem całkowicie przeszkodzić i dużo Rosjan uciekło.

Ale dzień ich zguby był już ustalony przez przeznaczenie.

Śmigły jest z tych, którzy nie zatrzymują się w pół drogi i nie porzucają raz upatrzonej zwierzyny. Jest zawziętym myśliwym.

Więc naprzód! Do nowej bitwy. Jeszcze daleko do wschodniej granicy Letgalji, starej polskiej granicy z Rosją, gdzie w zmarzłych grudach ziemi ostrze polskich bagnatów ma wyryc doły dla słupów granicznych nowego państwa. Jeszcze daleko!

Uskoczyli bolszewicy pod Wyszki, coś 25 kilometrów na północny wschód. Zebrali tam 5 000 żołnierzy. Nacdiągają im jeszcze odwody z północy.

Pod Wyszkami miejsce do obrony jest jak najlepsze. Nad zmarzłymi jeziorami ciągną się wzgórza z dalekim ostrzałem; jakby sam los przeznaczył je na szaniec obronny. Tam Rosjanie postanawiają się bronić. Zawczasu ustawiają swoje działa.

Idzie nasze natarcie. Śnieg głęboki, po odwilży zwierzchu stwardniał. Łamie się skorupa zlodowaciała pod ciężarem nacierającego legjonisty. Widać go na białej powierzchni, jak czarną figurę na papierze. Ziemia pod spodem jest tak twarda, że kilof o nią tylko z jękiem uderza, lecz nie bierze. Do niczego jest łopatka piechura, potrzebaby tu świdra górnika.

Mimo to, naprzód! Hasło natarcia rzucone przez wodza brzmi: „Więc naprzód!”

Jedyną ochroną przed granatami nieprzyjacielskimi są co najwyżej piwnice spalonych czy też opuszczonych przez mieszkańców chat. Jedyną zasłonę da się zrobić z belek rozbitej chałupy. Na 15-stopniowym mrozie leży wytrwale nasz żołnierz pod ogniem baterij rosyjskich. Ani się gdzie naprawdę skryć. Wygrzebał dziurę w śniegu i czeka zmierzchu, żeby wreszcie móc pójść dalej.

Nasze działa ciągle pozostają wtyle, w śniegach, nie nadążając za piechotą. I tak będzie z nimi aż do końca tej kampanji.

Rozpoczynają się zaciekle boje. Trwają dzień, jeden, drugi, trzeci. Zobaczymy, kto wytrzyma, kto przetrzyma.

7 stycznia nacierają Rosjanie. Wstrzymali ich nasi. Wyparci, wrócili i odepchęli wroga bagnetem.

9 stycznia — to samo. Nasze przeciwuderzenie pomysłnie kończy dzień.

Sierpień 1920 roku.



Polacy uderzyli z nad Wieprza. Rosjanie poczynają się cofać. Naczelny Wódz, marszałek Józef Piłsudski, wydaje dowódcy 2-ej armji, generałowi Śmigłemu-Rydzewi, rozkaz:

„2-ga armja — wytężony pościg w kierunku północnym dla zajęcia Białegostoku i zaatakowania cofających się kolumn nieprzyjacielskich ze strony wschodniej”.

I tak się stało, jak Naczelny Wódz rozkazał dowódcy 2-ej armji — kolumny nieprzyjacielskie zostały zaatakowane od wschodu.

10 stycznia Śmigły osądza, że bolszewicy są już wykończeni. Ludzie walczący pod przymusem mają pojedyncze siły, tak jak je ma koń czy wół, to jest siły, które się kończą, gdy już bat nie działa.

Żołnierze Śmigłego mają siłę potrójną.

Pierwszą siłą jest ich Wódz, który twardo mówi: „Więc naprzód!” Druga siła — to ich własna moc ludzka. Trzecia — też własna, ta którą człowiek z siebie uporem wydobyć może. Jest to siła żołnierza walczącego o honor czyli o najlepsze wykonanie swego obowiązku.

Dzięki tym trojakim siłom naszego żołnierza, już 10 stycznia generał Śmigły osądził, że męstwo Rosjan wyczerpało się, że siły z nich uszły, jak sok z wyciśniętego jabłka. Więc dalej, naprzód! I idzie naprzód.

Bardziej na północy walczący Łotysze idą ramię w ramię z nami, lecz wreszcie zahaczyli się o jakieś miasto i drepcą na miejscu. Widząc zaś, jak polski wódz wydiera w rozgwarze bitew zwycięstwo z rąk losu, wywalcza je swoją wolą, oddają mu resztę swych wojsk na froncie rosyjskim do rozporządzenia. Prowadź je, mówią.

Naprzód Legjony!

Pobici pod Wyszkami Rosjanie urwali się nocą. Wskutek tego, musieli również się cofnąć czerwoni, walczący dalej na północy z Łotyszami.

Tak to polski oręż otwierał drogę na wschód.

Północ już jest przed Śmigłym pusta. Spotkać tam można jedynie gromadki maruderów, chętnie idących do niewoli.

Śmigły rzuca w pościg swe bataljony. Jeszcze daleko do rzeczki Siniuchy, wschodniej granicy Letgalji.

Tam będzie kres kampanji.

Dzień po dniu następuje bój. To znów dzień mija bez nieprzyjaciela. I gdyby nie coraz liczniejsi jeńcy, którzy plotą o swoim zmęczeniu, o ranach z odmrożenia, możnaby sądzić, że rozbite brygady i dywizje czerwonych zapadają się gdzieś pod ziemię, jak upiory.

Kryją je potężne zadymki, które coraz to uderzą na nasze wojsko, idące wytrwale za swoimi oficerami, jakby chcąc je powstrzymać w marszu.

A tu się już naszym legjonistom marne trzewiki porozłaziły. W każdej kompanii zobaczysz kilku albo i kilkunastu takich „pokutników“, co dawno je pogubili i teraz owijają bose nogi szmatami.

Butów niema, lecz fantazja jest. Nie na butach polskie wojsko stoi.

Śmigły powtarza: „Naprzód!“ Pcha przed sobą resztki czerwonych, nie da im spocząć. Przebywa za nimi w pogoni rzeki i zamarte jeziora, których tu wiele w tym kraju.

A mrozy biorą coraz cięższe i niszczą naszych straszliwie. W tej drugiej dekadzie stycznia dochodzą do 35 stopni. Ptaki marzną w locie i padają na śnieg. Kto uwierzy, siedząc w ciepłej chacie, że w taki mróz da się wojować. A jednak nasi wojują. Tak widać trzeba, kiedy Śmigły prowadzi.

Godzina boju i już połowy kompanii nie masz. Mróz ludzi zwycięża. I gdyby tylko mróz, ale ten przekłety wichur w dodatku, co oddychać nie da, przenika nawet najgrubsze kożuchy, o ile ktoś taki gruby kożuch wogóle ma.

Najgorzej jest z końmi; karmią je mocno, lecz cóż to pomoże — i świerzb i parchy wycieńczają je zażwicie.

Wreszcie broń staje się nic nie warta. Już nie chcą strzelać kompanijne karabiny maszynowe, chłodzone wodą. Pękają oporopowrotniki i lufy dział po strzale.

Zamarza smar na ręcznych karabinach i z nich też strzelać się już nie da. Przy strzale z karabina francuskiego, kula psyka, jakby potarto zapałkę o draskę, i pada tuż przed wylotem lufy, o kilka kroków.

Broń rosyjska okazuje się tu lepsza.

Pozostaje naszemu żołnierzowi tylko wola pójścia naprzód i bagnet. Jedne karabiny maszynowe Hotschkisa, których osiem, na szczęście, posiada każdy bataljon, jeszcze mu w tem pomogą. Nie zwracają one uwagi na mróz. Poczciwe!

Gdybyś, bracie, mógł z wysoka, z bardzo wysoka, z pod samego nieba, spojrzeć wówczas na ziemię, ujrzałbyś za Dźwiną, jak po wielu, wielu drogach, posuwają się cienkie nitki, coraz to rozdzierane pośrodku błyskami strzałów.

Czoła tych nitek — kolumn sunących „gęsiego“ — to tabory i artylerja bolszewicka. Za nimi odchodzi piechota, a tej na pięty nasiadają nasi.

Kiedy kolumna bolszewicka dojdzie do wsi czy miasteczka, zatrzymuje się na jego skraju, rozpełza i wita strzałami pogoń. Wtedy legjoniści podchodzą na sześćset — osiemset metrów, tak blisko, jak krzaki czy pagórki dojść pozwolą. Sunące na przodzie karabiny maszynowe rozpoczynają zajadłe szczekanie.

Po kilku tasiemkach wyrzuconych naboii, wiara, niechętnie leżąca na mrozie i oczekująca skutku tego ognia — przygrywki do boju, rzuca się naprzód. Czem prędzej do chat! Czekanie na polu — to śmierć. Dzisiaj się walczy o chaty. Pół nikt nie broni i zdobywać ich też nie trzeba. Czujka najwyżej kwadrans wytrzyma na powietrzu.

Drogi trzeba odkopywać. Artylerja ugrzęzła w śniegach i gdzieś już od dni pozostała w tyle. Ale

i bez niej w tej dziwnej wojnie bataljony prą naprzód.
Tu walczy piechota!

Dopiero 22 stycznia mróz zelżał i przyszła chwilowa odwilż. Lecz do rzeki Siniuchy jeszcze Polacy nie doszli. Jeńcy mówią:

— Już niedaleko. Dalej nie pójdziecie, bo dalej nigdy Polski przecież nie było, tylko do Siniuchy.

I znów mróz. Nieprzyjaciel przygotował pozycję pod Poliszczyno, zgromadził świeże wojska i zagradza tam drogę naszym. Dziesięć dni trwają boje. Wsławia się tam 1-szy pułk piechoty Legjonów. Odtąd też na swoim sztandarze nosi dumnie napis „Poliszczyno“.

Przez te dziesięć dni, potężny sprzymierzeniec nieprzyjaciela — mróz zabiera z naszych szeregów ponad połowę żołnierzy.

Czerwoni bronią się mężnie. Wkońcu z rozpaczą widzą, że muszą ustąpić zawziętości legjonistów. Nic tu ich siły ludzkie nie pomogą. Codziennie bój. Uprzykrzy sobie ciężką służbę ten i ów żołnierz rosyjski, chłop z pod Tweru czy Wiaźmy, i sam sobie naleje wody do butów filcowych. I już go wiozą wtył z odmrożeniami nogami do szpitala. Inny znów nie śpieszy się w odwrocie, przystaje w przydrożnej chacie i idzie do niewoli. Jakże takim żołnierzom równać się z naszymi, z których wielu już dawno o butach zapomniało, lecz ciągle idą naprzód.

To też nocą z 3 na 4 lutego wojska polsko-łotewskie stanęły w pościgu za nieprzyjacielem nad rzeczką Siniuchą i wielkim jeziorem Oświej, o 130 kilometrów od Dyneburga.

Generał Śmigły-Rydz zakończył kampanję nazwaną proroczo „Zima“.

Powinna się ona jednak nazywać w historii jakoś inaczej, bardziej twardo. Generał nazwał ją „groźną”. Taką też naprawdę była dla naszego żołnierza, lecz jakże wspaniałą dla Wodza i jego dywizyj.

W Dyneburgu zwycięzca zimy i Rosjan, wódz polski, przyjmuje defiladę swoich oddziałów. Łotysze poubierali się we fraki i lakierki i mowy mają do Śmigłego-„Oswobodziciela”. A tu znów zaskoczył mróz 30-stopniowy. W ten mróz idzie kamienną jezdnią nasza piechota. Mocno tętni bruk, bo w nowych już idzie trzewikach. Połowa żołnierzy ma jeszcze niezagojone z odmrożenia palce u nóg i rąk, lecz nic to. Cóż to znaczy wobec pracy, jaką wykonali! Za piechotą wali przez długie kwadranse artylerja. Koła siedemdziesięciu dwóch dział dudnią w ten mróz, jakby ich tysiąc szło.

Patrzą się i dziwią Łotysze temu walecznemu wojsku, co tak wiele zdziało, walcząc z wrogiem i z mrozem, żeby zasłużyć na uznanie swego Naczelnego Wodza. A wielu przytem nawet swego życia nie pożałowało i ponad sto grobów żołnierskich pozostało w tej ziemi, jako pomnik naszej chwały. Lecz jeszcze bardziej dziwią się Łotysze młodemu Wodzowi, którego wola i pragnienie zwycięstwa przeniknęły serca legionistów i sprawiły, że oręż polski ustalił wschodnie granice ich ojczyzny.

Uczcili go też jak umieli.

Prosili go, żeby przyjął ich krzyż, co jest jak nasz „Virtuti Militari”, a nazywa się „Latsplessis”, co znaczy „pogromca niedźwiedzia”.

I słusznie, przecież rosyjskiego „niedźwiedzia“ Śmigły pogromił.

Czy to wszystko? Polska mówi — nie. Polska cała czeka, kiedy w owym Dyneburgu, na największym placu, owemu Wodzowi, którego imię na wiek wieków jest związane z tem miastem i wschodnią granicą ojczyzny łotewskiej, pomnik wdzięczności wystawi mieszkańcy.

Boć należy się przecież, żeby żołnierz polski, co tak wiele uczynił, walcząc za wolność Łotwy i tyle swojej krwi serdecznej poza granicą swojej własnej Ojczyzny szczodrze przelał, w osobie swego Wodza został w tem miejscu uczczony.

Lecz mała to rzecz będzie, kiedy będzie, wobec tej sławy, jaką historia, jaką opowieść żołnierska o Śmigłym i jego bojach za Dźwiną, w Letgalji, opowiada.

Kiedy skończyły się boje dywizyj Legionów, stały one do wiosny na marnych kwaterach, bo lepszych nie było w zdobytych miastach i wioskach. Żołnierze goili rany, opowiadali swe zwycięstwa i nabierali sił do nowych bojów, które im wiosna obiecywała.

Z Dyneburga, gdzie tyfus począł dziesiątkować naszych, Śmigły czuwał nad Łotwą, lecz rozbici czerwoni nie odważyli się powrócić.

Aby do wiosny — czekali wszyscy.

I Śmigły czekał na nowe rozkazy Naczelnego Wodza, gdzie, w której stronie, ma swoim męstwem „ratować Ojczyznę“, nową chwałą chorągwie pułków okrywać i „na wdzięczność całej armji polskiej zasłużyć.“

SZLAKIEM CHROBREGO.

Druga wiosna Polski. — Wódz Naczelny chce uprzędzić czerwonych. — W 3-ej armji Śmigły ma główną robotę. — Słynny marsz na Żytomierz. — Rozbicie 12-ej armji. — Czy czerwoni będą bronić się przed Dnieprem? — Śmigły wchodzi do Kijowa. — Ukraina śpi. — Co czynić dalej? — Śmigły zostaje z 3-ą armją w Kijowie. — Zdobycie mostów na Dnieprze. — Wielki przemarsz 3-ej armji przed Wodzem przy huku dział.

„Łamiąc i bijąc, szedłem do Kijowa
Na Bugu, jak dziady moje, toczyłem bój“...

J. Słowacki

Nadchodziła druga wiosna naszej wolności; zapowiadała się jakoś wcześniej. Należało pomyśleć, co będzie z nami, jak podeschną drogi, puści się trawa na łąkach i będzie gdzie popaść konie.

Pokończyliśmy już niektóre sprawy wojenne z sąsiadami — z Czechami i Niemcami. Pozostawała jeszcze Rosja i wygrażająca nam bezsilnie za Wilno — Litwa.

Ku Rosji kieruje się więc bez przerwy myśl Wodza Naczelnego i całego wojska.

W Rosji jest już pewien rząd. Czerwoni coraz silniej zagarniają w ręce władzę. Większość swoich przeciwników „białych“, którzy na kresach olbrzymiego państwa próbowali z nimi walczyć, już pobili. Rzekami krwi spłynęła wielka Rosja i naprawdę stała się już prawie całkowicie od niej czerwona.

Nadchodzą pewne, powtarzające się wiadomości, że teraz wiosną czerwoni próbują „skończyć z Polakami“. Znow nas do państwa rosyjskiego chcą przyłączyć, tak

jak uczynili to właśnie z Gruzją i narodami azjatyckimi.

Już wiadomo jest, że dwadzieścia osiem nowych dywizyj czerwonych ma przyjść na front polski. Wówczas naprawdę zacznie się wielka wojna.

Rozmyśla Naczelny Wódz polski. Co czynić? Czy czekać aż dywizje te przyjdą i rzucą się na nas? Czy nie lepiej uprzedzić Rosjan? Pobić tych, co już naprzeciw nas stoją, a później łatwiej będzie zwyciężyć również tych, co nadejdą.

W długie dni zimowe namyślił się polski Wódz Naczelny. Ku wiośnie zbiera swoje wojska na wschód. Ma ich w końcu kwietnia na froncie już 350 tysięcy. Ale gdzie uderzyć? w którym miejscu? Czy pójść na Smoleńsk, Moskwę, szlakiem Batorego, czy też przez Wołyń, szlakiem króla Chrobrego?

Ziemi rosyjskiej Polacy nie pragną, ale swojej też oddać nie chcą. Nie oddadzą. Dlatego trzeba Rosjanom broń wytrącić z ręki i zmusić ich do zawarcia pokoju. Gdzie są ich wojska — tam pójdzie nasz Wódz Naczelny.

Na Ukrainie są ludzie, co pragną wolności swojej ojczyzny. Nie chcą być już pod władzą Moskwy. Sami pragną stanowić o sobie. Zwracają się o pomoc do Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego, tak jak niedawno Łotysze.

Jakże tym ludziom nie dopomóc?

O ile uda im się stworzyć wojsko i osłonić własne państwo, wtedy będzie ono nas odgradzać od Rosji.

Wódz Naczelny przyjmuje więc przyjaźnie wyciągniętą dłoń Ukraińców i mówi:

— Pomogę Wam. Uderzę na czerwonych na Ukrainie. Kiedy mi się to uda, będziecie wówczas mogli łatwiej pod osłoną bagnietów żołnierzy polskich tworzyć swoją potęgę i własne szczęście. Naprzód! Za naszą wolność i waszą!

Na Ukrainie Wódz Naczelny postanawia rozbić czerwonych i zniszczyć ich wojsko. Czas najwyższy, bo już w połowie marca Rosjanie próbują nacierać na Równe. Widać, że o ile nadal będziemy stać nieruchomo, rozciągnięci w nitkę na olbrzymich przestrzeniach, to nitka ta zostanie porwana, a my pobici.

Żeby zwyciężyć Rosjan, trzeba się do nich dostać. Na przodzie mają oni tylko czaty, a główne ich wojska leżą daleko z tyłu. Do tych głównych sił trzeba się dorwać dywizjom polskim, do tych miejsc, gdzie schodzą się drogi z frontu prowadzące na tył. Przez te miejsca-rozdroża muszą Rosjanie uciekać.

Na węzły dróg Koziatyn i Żytomierz mają uderzyć nasi. Niełatwa droga do tych miast. Dlatego Wódz Naczelny sam staje na czele jednej z armij — 3-ej — „żeby własnymi rękami sprawdzić to, co sobie umyślił wykonać. Nie chce dawać zbyt trudnej pracy do odrobienia swoim podwładnym“.

W tej 3-ej armii, która ma chwycić Żytomierz, pierwszą i najgłówniejszą pracę wyznacza Wódz Naczelny generałowi Śmigłemu.

Już w końcu marca jego dywizję, 1-ą legionową, przewożą koleją do Baranowicz, gdzie wypoczywa przez dwie dekady kwietnia, w trzeciej jedzie dalej i 24-go jest pod Zwiahlem, na Wołyniu.

Generał Śmigły-Rydz otrzymuje w dodatku 7-mą dywizję piechoty i 3-ą brygadę jazdy. Wódz Naczelny nakazuje mu przejść w przeciągu jednego dnia ze Zwiahla nad Słuczą do Żytomierza i tam bić odchodzących Rosjan.

Łatwo powiedzieć, lecz trudno wykonać.

Ze Zwiahla do Żytomierza 80 kilometrów, jak ob-
szyl.

Ale piechota polska dobrze chodzi.

Niejedne też zwycięstwo zdobyła nogami.

— Naprzód — mówi Śmigły — na Żytomierz!

80 kilometrów w jeden dzień. Jak je przebyć? Zafra-sowali się wszyscy — dowódca dywizji i dowódcy pułków. Najmniej zaś strzelcy. Raz jeszcze sprawdzili broń i naboje. Wymoczyli nogi, oblekli czyste onuce, wzięli buciaki i już gotowi do drogi, choćby na kraj świata.

Przejsć, to przejść. Jak trzeba, to się zrobi. Ale przecież należy przedtem przewrócić i zniszczyć te oddziały rosyjskie, które stoją na froncie, nad Słuczą, naprzeciw nas.

Przywykła do zdobywania miast 1-a legjonowa wzdłuż szosy kijowskiej pośpieszy na Żytomierz, a obok niej zboku przeskoczy przez dziurę we froncie brygada jazdy i pójdzie lasami na Koziatyn.

Pościgano co się dało samochodów ciężarowych.

25 kwietnia o godzinie 3 rano jest jeszcze ciemno. Na placu załadowczym staje sam generał Śmigły i przy nim rozpoczyna się ładowanie kolumny. Mieści się na samochodach wszystkiego dwa bataljony.

Jeszcze wszyscy nie upakowali się jak należy, bo tłok był niezmierny, a już nad rzeką zahuczały działa. To 5 pułk legjonowy otwiera drogę.

Śmigły macha ręką. Kolumna rusza naprzód. Zwycięstwo jest przed nią. Dzień wstaje piękny.

III bataljon 1-go pułku legjonów, dla którego nie starcza miejsca na samochodach, rusza pieszo.

I tak się zaczyna ten słynny w dziejach wojska polskiego marsz. Ciężkie samochody wnet poczynają grzęznąć w piaszczystej drodze, o której fałszywe wiadomości twierdziły, że da się nią przejechać. Wysuwają się przodem lżejsze półciężarówki. Kolumna rozciąga się na kilka kilometrów. Część żołnierzy zaraz prze-siada się na podwozy i dalej naprzód.

Wnet kolumna dopędza nieprzyjaciela. Pali on słabe mostki za sobą, a który niespalony, to i tak łamie się

pod ciężkimi samochodami. Jak się da, tak wiara łąta te mostki i naprzód. Postrzelano tabory i artylerję nieprzyjacielską. Kolumna, jak może, gna naprzód. Niechaj chociaż kompanja, chociaż bataljon, a stanie dzisiaj w Żytomierzu. Za godzinę będzie więcej, w następnej jeszcze więcej. Aby naprzód.

Ale po godzinie 12-ej przy dojściu do Wilska spłoszono tam śpiący pułk rosyjski. W gatkach jego dowódca uciekł przez okno.

Część tego pułku opiera się o lasek i zatrzymuje polską kolumnę. Dopiero natarcie ich wyrzuca. Tu już nasza piechota porzuca samochody. Nanic! Za wolno się na nich jedzie. Inne pułki już dochodzą pieszo.

Pozostaje jeszcze 14 kilometrów do Żytomierza.

Nadchodzi wieczór. Wojsko jest radosne. Po wszystkich drogach oddziały kroczą naprzód.

O świcie zdobywamy Żytomierz. Bierzemy w nim ogromną zdobycz — pociągi naładowane działami, samochodami, końmi, uprzężą i amunicją.

Nieprzyjaciel, obawiając się obejścia, uchodzi, osłaniając się samochodami pancernymi. Wstrzymują one rozpęd polskiego natarcia.

W 32 godziny piechota polska przebyła 80 kilometrów.

Wróg na całym froncie cofa się gwałtownie. Na prawo i na lewo wszędzie Polacy dochodzą do miejsc, nakazanych przez Naczelnego Wodza.

O godzinie 15 z Żytomierza Śmigły wysyła dwie kompanje na samochodach w pościg za szczątkami rozbitej 58 dywizji czerwonej.

Na całym froncie pobici Rosjanie odtąd poczynają się cofać.

Piękną pracę wykonała grupa generała Śmigłego. Naczelnym Wódcą jest 27 kwietnia w Żytomierzu i dodaje mu jeszcze dywizję pułkownika Rybaka, co dotąd Jemu samemu podlegała.

Zauważcie, że w miarę, im coraz głębiej w las, im coraz większa wojna, tem więcej wojsk gromadzi się w rękach Śmigłego. Zaczyna kampanję, mając dwie dywizje i jedną brygadę jazdy — zobaczycie, z czem ją skończy.

1 maja zajęli nasi węzeł kolejowy Chwastów. Tu przystanęli.

12 armja sowiecka, którą uderzyli na Słuczy, jest rozproszona. Dowódca jej przez radjo pyta z rozpaczą: „Gdzie są moje dywizje?” Odpowiada mu echo.

A te dywizje w transportach jeńców jadą już do Polski, lub też leżą w ziemi; rozbitki z nich błąkają się po lasach.

Czy wobec tego nieprzyjacieli będzie walczyć z nami jeszcze przed Dnieprem? Niewiadomo. Minęło kilka dni, zanim się wyjaśniło, że nie może tego zaraz, na miejscu, uczynić.

Wtedy Wódcą Naczelnym oddaje Śmigłemu dowództwo nad 3-ą armją i nakazuje zdobyć Kijów, gdzie są piękne mosty na rzece Dniepr. Przez te mosty zawsze mogą nadejść nowe dywizje czerwone i uderzyć na nas.

Spodziewają się Polacy, że Rosjanie będą przynajmniej bronić stolicy Ukrainy, nie oddadzą jej bez uporczywego boju.

Nieprawda! Oslaniając się strażami tylnymi, czerwoni odchodzą za Dniepr.

8 maja, w dzień św. Stanisława, dowódca 3-ej armji, generał Śmigły, wchodzi do złotogłowego Kijowa, matuszki grodów ruskich. Jak przed Chrobrym i Śmiałym, bezbronnie do jego rąk chyli się miasto.

„Prędko, prędko w te lata spełniały się przeznaczenia narodów“.

Jeszcze w lutym Śmigły wyrąbywał w lodach i śniegach wschodnią granicę Letgalji, a już w kilka miesięcy później spogląda z wysokiego brzegu Dnieprowego na ciągnące na wschód tabory rozbitej 12-ej armji czerwonej.

Prawobrzeżna Ukraina jest wolna.

Do broni, Ukraińcy!

Ale Ukraina milczy.

chcieli, tanim kosztem mieć swoje opowiadanie
Ci, którzy chwytają za karabin, żeby wraz z wojskiem polskim wyrzucać Rosjan, są nieliczni. Idą z nami i walczą dzielnie, lecz Ukraina cała śpi.

Nie chce ona ani Rosjan, ani Polaków, ani nikogo, lecz nie chce dla swojej sprawy sama również nic uczynić.

Jest w tym roku 1920 krajem buntujących się niewolników, niezdolnych do stworzenia wojska i stworzenia państwa, inaczej jak my, jak Łotysze, Estończycy czy Litwini.

Nie chce dla tego celu dać dobrowolnie własnej krwi.

Dlatego też po dziś dzień Ukraina nie jest wolna i nie będzie. dopóki nie zrozumie prawa wolności, którą można uzyskać jedynie przez przelanie krwi z dobrowoli.

Ze wzruszeniem wstępuje Śmigły i jego żołnierze do Kijowa. Ze czią nabożną oglądają ruiny Złotej Bramy.

W tę bramę wjeżdżając „wielki wśród Lechitów wódz“, król Bolesław Chrobry, w 1018 roku ciął w sklepienie mieczem.

Wyszczerbził się miecz o żelazo opuszczanej kraty zamkowej.

Dlatego przezwano go Szczerbcelem. Odtąd też przy koronacji przypasywał go każdy król polski.

Tę to bramę, co dzisiaj jest w pośrodku miasta, obchodzą pilnie nasi żołnierze.

Co uczeńsi wykładają im dzieje tego miasta, które przez tyle wieków przy Polsce wiernie trwało.

Z wysokiego brzegu, z mogiły Askolda Warega, co z dalekiej północy rzeką Dnieprem spływawszy, Kijów zdobył i w nim panował ongiś w czasie bajecznym, z tej to mogiły spogląda Wódz Naczelny, a przy nim Śmigły, na daleką, niską Ukrainę zadnieprzańską. Świeci pięknie słońce.

Co czynić dalej?

— Siedź w Kijowie i ubezpiecz się tu — mówi Wódz Naczelny. — Zobaczymy, co będzie. Niedobre wieści nadchodzą z północy. Gdzieś tam nad Berezyną zbierają się wielkie siły czerwonych. Zabieram stąd co mogę i tam posyłam. A tu przed nami ni to pusto, ni to pełno. Z pod Kaukazu ciągnie konna armja z Wołoszówem i Budiennym. Trzeba będzie ją wykończyć, gdy do nas dojdzie. Narazie stójcie tu. Zobaczymy.

Już Wódz Naczelny odjechał, a Śmigły stoi i w myśli każde jego słowo rozważa. Przenika się ich ważnością i rozmyśla, jak najlepiej rozkaz wykonać. Jest żołnierzem, wiernym, aż do utraty życia i szczęścia, rozkazom człowieka, którego uznał za swego Wodza.

Ma tu stać i czekać. Nie odda więc Kijowa.

Zobaczycie, co z tej jego wierności rozkazowi dziwnego wyniknie. Jakich wielkich bojów będzie to przyczyną, jakim zdumieniem przeniknie się nasz żołnierz i jak wielką stąd będzie chwała dla Śmigłego.

— Stać w Kijowie i nie przepuścić nieprzyjaciela przez Dniepr — myśli Śmigły. — Mam całą 3-ą armję. Być może, Wódz Naczelny nakaze mi pójść dalej na wschód. Mosty są mi potrzebne. Gdy je będę miał

w garści, już mi czerwoni nie wejdą niespodzianie do miasta. Jutro zdobędę mosty.

9 maja o świcie, o godzinie 3.30, pułki dwóch dywizyj, 1-ej legjonowej i 15-ej, idą w zawody o mosty, bronione przez Rosjan. Podchodzą do nich pod osłoną ognia armatniego.

Rosjanie, oczekując natarcia, zniszczyli część mostu łańcuchowego przy swoim brzegu, lecz zerwali tylko połowę. Czepiając się belek przęsła, dowódca czołowej kompanii 6 pułku piechoty legjonów chce się przedostać na drugą stronę, na brzeg wschodni. Belki są wąskie, a czerwoni strzelają. Oficer traci równowagę i spada do rzeki. Na szczęście, nie jest ona tu zbyt głęboka. Za nim leci wdół kilku żołnierzy. Wygrzebują się z wody i przemykając pod cieniem mostu — dopadają do strzelających rosyjskich karabinów maszynowych. To samo czyni 60 pułk piechoty na mostach: szosowym i kolejowym.

Leci granat za granatem. Rozgorzał bój. Kończy go nasze zwycięstwo. Umilkły rosyjskie karabiny maszynowe. Już są zdobyte. Wnet cała nasza kompania jest na drugim brzegu.

Nie powiodły się przeciwuderzenia Rosjan. Twardą nogą stają nasi na przedmieściu Kijowa, nazwanem od wioski najbliższej — Browary.

W tym samym czasie, pewna zwycięstwa swych pułków, chcąc okazać miastu, jaka jest moc polska, o godzinie jedenastej 3-a armja rozpoczyna defiladę przed swym Wodzem.

Idą pułki, dobrze okryte i umundurowane, między ciżbą ciekawych, co stoją na chodnikach. Polacy płaczą z radości. Wszyscy z podziwem patrzą na tego żołnierza polskiego, który jakby z pod ziemi czarami

został wydobyty. Jeszcze dwa lata temu, nie było na żadnej mapie napisu: Polska, a oto patrzcie — jej wojsko przemierza już jak dalekie ziemie, walcząc nietylko o swoją, lecz i o cudzą wolność.

Miarowym krokom piechoty, szczękowi kopyt końskich — wtóruje potężny łoskot niedalekiej bitwy o mosty.

Śmigły taki sam jak zawsze, niezmienny, spokojny i uśmiechnięty, spogląda swemi czarnemi oczyma na wojsko — cieszy się jego wspaniałą postawą, jego dumą i myślą, do jakich przeznaczeń jeszcze je los powoła.

W Kijowie dowódca 3-ej armji czuwa i czeka na dalsze rozkazy Naczelnego Wodza.



Wrzesień 1935 roku. Na ćwiczeniach pod Ozorkowem. Naczelny Wódz rozmawia z żołnierzami 28 pułku strzelców Kaniowskich (pułku autora książki).

3-a ARMJA W ODWROCIE.

Polacy zatrzymali się w postawie obronnej. — Rosjanie próbują szarpać Śmigłego. — Czerwona „konna armja” przedostaje się przez front. — Wódz Naczelny nakazuje Śmigłemu opuścić Kijów. — „Konna armja” na naszych tyłach. — Śmigły przedziera się przez pierścień wojsk czerwonych. — Śmigły dowódcą frontu. — Nieudane zastawienie pułapek na „konną armję”. — 3-a armja w całości wychodzi na Bug. — Śmigły wykonywa „zadanie ponad przeciętne siły ludzkie” i odrywa dwie swoje dywizje z frontu. — Śmigły uzyskuje pochwałę Naczelnego Wodza.

„I wilki się cofają, żeby lepiej uderzyć.”

Nad siwymi wodami Dniepru, w Kijowie i w okolicy stoi armja generała Śmigłego. Nieprzyjaciel odszedł na wschód. Nie słysząc jednak za sobą tętentu i wystrzałów pogoni — zawrócił. Rozzuchwalony, poczyną ciągłymi napadami nękać załogę przedmieścia Browary.

Lato jest suche i znojne. Woda w Dnieprze opada. Na lewo i na prawo od 3-ej armji nieprzyjaciel usiłuje przeprawić się przez rzekę. Ściąga nowe dywizje z południa Rosji.

A w samym Kijowie nie jest dobrze. W wygłodzonem mieście mieszkańcy mają już dosyć wojny. Dziewczyn jest aż za dużo, lecz żołnierz niebardzo ma co zjeść — chyba stęchłą kaszę.

Mija miesiąc. To tu, to ówdzie, czerwoni próbują coś oderwać od pnia 3-ej armji. Na nią samą nie ośmielą się uderzyć. Starają się przykuć do siebie

uwagę Śmigłego i przedostać się głównymi siłami gdzieś z boku przez front polski.

— Najlepszem do tego miejscem — myślą — będzie styk dwóch armij: 3-ej i 6-ej, stojącej dalej na południu. Tam uderza w końcu maja wstawiona w bojach z białymi generałami rosyjskimi i dumna ze swych zwycięstw „konna armja“. Dowodzą nią: dzielny „towarzysz“ Woroszyłow i niemniej dzielny kozak Budienny. Wpadają na naszą 13-ą dywizję, lecz ta stawia się mężnie i mimo dużych strat, po ciężkim boju odrzuca czerwoną jazdę. Woroszyłow z Budiennym spływają na skrzydło dywizji. Znajdują wreszcie upragnioną dziurę we froncie. Po wyrąbaniu kilku naszych kompanij, wdzierają się na nasze tyły.

Wśląd za nimi podążają czerwone dywizje piechoty. Jednocześnie na północ od 3-ej armji duże siły bolszewickie przeprawiają się przez Dniepr.

Jest pogodny dzień 5 czerwca. Z dwóch stron jest Śmigły obchodzony i wreszcie otoczony.

Nie lęka się. „Tylko ten jest odcięty — powtarza — kto sam się czuje odcięty“.

Rozpoznaje wokół i gotów do skoku — czeka.

Żołnierze czyszczą broń, przeglądają amunicję. Ładują wozy i sposobią się do bitwy.

Wszyscy rozumieją, że krwawy taniec, a raczej wielka zawierucha, wnet się rozpocznie.

Nikt nie wie jednak przed jakimi klęskami stoi polskie wojsko. W błękicie nieba nie kraczą kruki, a daleki głos strzałów działowych nie płoszy snu z oczu przyzwyczajonego do boju żołnierza. Przeciąga się na słońcu i mówi.

— Za Dźwiną nie było tak ciepło, jak tutaj.

Wielkość wodza poznają żołnierze nie w dniach, kiedy wszystko dobrze, składnie idzie, lecz przede-

wszystkiem wtedy, kiedy nadciągającą czy też prawie nieuniknioną klęskę w wielkie zwycięstwo zamienia.

„Konna armja“ nie słucha mądrego rozkazu swego naczelnego wodza i zamiast uderzyć na skrzydło Śmigłego — popędza konie i mknie na nasze tyły. Szerzy popłoch między taborami, wycina pojedyncze kompanje i bataljony co słabszego serca. Mężni nie dają się kawalerji i choć pokrwawieni — obronną ręką wychodzą.

Czerwone pułki kozackie chcą pohulać i mkną hen! na nasze tyły.

Śmigły jest już całkiem otoczony przez czerwone dywizje piechoty, lecz nie myśli o odejściu od Dniepru. Po co? Rozkaz Naczelnego Wodza był całkiem wyraźny: „Macie stać z 3-ą armją w Kijowie“. Dlatego też generał zamierza bronić się w zamkniętym ze wszystkich stron warownym obozie, w trójkącie między rzeką Dnieprem, a od zachodu rzekami: Stuhną i Irpieniem.

Zważcie, koledzy, jak się historia powtarza. Przecież w takich obozach nie raz i nie dziesięć broniło się nasze rycerstwo na Dzikich Polach. Broniło się, albo też na takie obozy nieprzyjacielskie napadało. Tak było pod Chocimem, pod Żórawnem i na Czerskich błoniach.

W takim obozie chce Śmigły walczyć. Z „konną armją“ niech sobie dadzą radę tamci ztytu. Daleko nie ujdzie bez amunicji i taborów. Cóż to jest ta „konna armja“ z Woroszyłowem i Budiennym na czele? — Śmigły wzrusza ramionami.

Przez głębokie wypadły rozpoznaje generał, co się dzieje wokół niego. Wszędzie, gdzie pośle bataljony, napotykają one przewagę wroga, lecz z całą armją widać wszędzie da się przejść. Śmigły czuje swą siłę. Jest otoczony, ale nie pobity. Jest zdolny wraz z 3-ą armją do boju w każdą stronę świata, w którą rozkaz Wodza Naczelnego go pośle.

Lecz ten rozkaz nie nadchodzi. Dlaczego?

Pochmurnieje pogodna dusza Śmigłego, lecz nikt się tego nie domyśla. Generał twarz ma jasną, jak zawsze.

Dochodzi wieść złowroga do Naczelnego Wodza: — Przez front przedarła się „konna armja“! Nie ma więc poco dłużej Śmigły siedzieć w Kijowie. Nielada to ciężar trzymać w linii frontu tak olbrzymie miasto. Lepiej mieć wolne ręce. Należy przedewszystkiem schwytać lotnego wroga, jakim jest czerwona jazda. Trzeba ją najpierw przepłoszyć.

Niedobrze poczyną się dziać na Ukrainie. Nie z przodu a z tyłów idą baje, wieści jakieś przerażające — 18 000 szabel Woroszyłowa i Budiennego urasta do setek tysięcy. Tyły poczynają się walić. Wojska na froncie, pozostawione samym sobie, zawisają w powietrzu.

Żołnierz polski po raz pierwszy spotyka się z wielkimi oddziałami kawalerji i nie wie, jak z nimi walczyć. Zaskoczone samotne kompanje i niedość ubezpieczone bataljony, oddziały etapowe — są wyrąbane.

Budienny idzie! — okrzyk ten wystarczać poczyną za pułki.

Wódz Naczelny pragnie, żeby Śmigły zmierzył się z Budiennym. Posyła mu rozkaz: — Wycofuj się z Kijowa na Żytomierz! Tam, myśli, natknie się Śmigły na „konną armję“.

Zapisane było jednak w kślędze przeznaczenia, że nie w Żytomierzu ma być koniec armji Woroszyłowa i Budiennego. Pomyślcie, co się stało — rzecz niedobra. Oto rozkaz Naczelnego Wodza — groźba dla czerwonych — nie dochodzi do Śmigłego, ginie gdzieś po drodze. Gdzie? kiedy? — dotąd niewiadomo.

Wreszcie dochodzi, lecz jest nietylko spóźniony, ale przekręcony rozmyślnie czy też nierozmyślnie. Przez kogo? — dotąd niewiadomo.

Dopiero 10-go czerwca nocą Śmigły rozpoczyna odwrót i... nie na Żytomierz, a bardziej na północ, w kierunku nieużytecznym dla sprawy. Czyni, jak mówi rozkaz. Rozkaz „zły“, niestety.

Tymczasem Woroszyłow z Budiennym przez te pięć dni dalekie obeszli drogi. Przestrzeń przed nimi wielka. Popędzają ręczo konie. Biorą Berdyczów i Żytomierz. Ponagla ich rozkaz: „Konna armja ma bić Śmigłego“! Więc zawracają na wschód, na 3-ą armję. Namysłiwszy się jednak, z pół drogi, z Chwastowa, znów zawracają na zachód, do tych samych miast. Po długim błakaniu się po tylnych podwórkach, zaczepiają wreszcie skrzydło 3-ej armji, ale ona jak wilk, łypnąwszy krwawemi ślepiami dział, odpędza ich.

Więc dalej czerwoni kozacy popędzili konie, szukając łatwiejszej zdobyczy.

Dnia 10 czerwca, o godzinie 3 rano, przebudzili się przestraszeni mieszkańcy Kijowa. Słychać raz po raz grzmoty niedalekich wybuchów. To Polacy wysadzili mosty na Dnieprze. Wszyscy rozumieją, że Śmigły odchodzi. Płaczą jedni, smucą się, a inni znów radują w Kijowie.

Drogi przed 3-ą armją są już przez czerwonych zastawione ogniem i żelazem.

3-a rozpoczyna odwrót. Trwać on będzie wiele dni i nocy na przestrzeni kilkuset kilometrów. Że tak będzie nikt jeszcze nie wie. Rosjanie sądzą, że dzień, dwa, a zaduszą Śmigłego. Ten zaś czuje swoją moc i pewnie kroczy przed siebie. Wódz Naczelny zaś mniema, że lada chwila, a Śmigły zetrze czerwoną „armję konną“ z ziemi, a jeżeli

nie on, to sąsiednia armja to uczyni. Wystarczy ją raz gdzieś przychwycić.

Tak myślą wszyscy, lecz los inaczej postanawia.

Z brzegu Irpienia straż przednia 3-ej armji spędza czerwonych. Na stacji Bucza, 11 czerwca, o godzinie 2.30 w nocy, generał Śmigły, który już wydał rozkazy dla całości, nieruchomy i spokojny jak zawsze, przysłuchuje się odprawie, jaką ma dowódca straży przedniej dla dowódców swych bataljonów.

Daleko gdzieś na niebie odbijają się łuny pożarów. To Woroszyłow z Budiennym puszczają „czerwonego kura“.

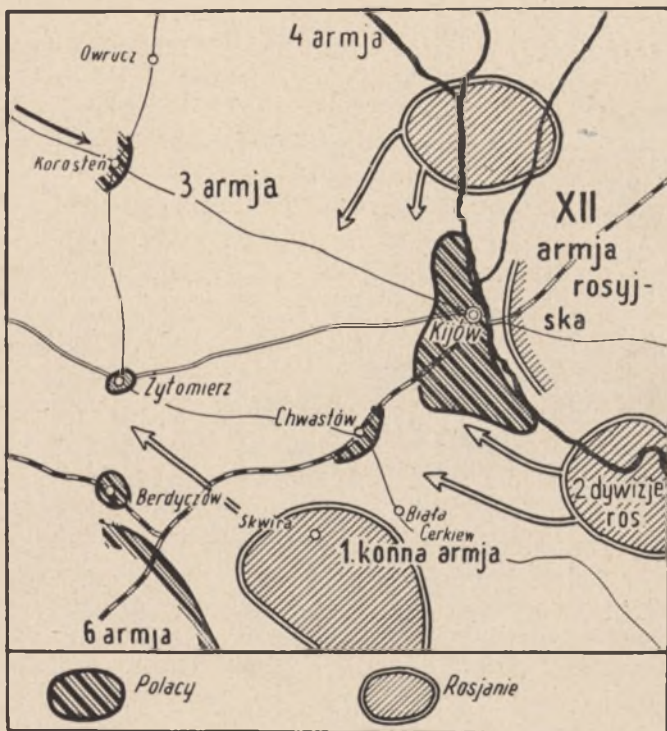
O godzinie 6-ej dochodzą Polacy nad grząską rzekę Zdziw. Na mostach pod Borodzianką spotykają zawzięty opór dużych sił rosyjskich. Nie zepchnęła ich odrazu, w pierwszym skoku, straż przednia. Zatrzymała się, czekając na wolną drogę, jakże długa kolumna 3-ej armji. Na przestrzeni dwudziestu kilometrów ciągną się jej pociągi.

Przez cały dzień biją się Polacy. Ani przez chwilę nie milkną działa i nie przestają trajkotać karabiny maszynowe. Noc przerywa bój. Przeprawa przez Zdziw jest w naszych rękach. Dowódca 3-ej armji ze sztabem przechodzi na zdobyty brzeg.

Przed świtem bój rozgorzał ponownie. Trzeba odrzucić nieprzyjaciela tak daleko, żeby móc w spokoju naprawić mosty na rzece i przeprowadzić pociągi.

Śmigły nie pozostawia ani swoich rannych, ani taborów w rękach nieprzyjaciela.

Rozpoczyna się nasze natarcie. Jedno, drugie, trzecie. Rozgrzane do czerwoności lufy karabinów maszynowych przepalają się w tej i owej kompanji. Baterje artylerji podchodzą tak blisko do Rosjan, że coraz to walą kartaczami. Tyraljery czerwonych, zasypane huraganem pocisków, przylgnęły wreszcie do ziemi.



Rosjanie otaczają 3-ą armję generała Śmigłego.

Główne jej siły są w Kijowie. Rosjanie sądzą, że „żywa noga z 3-ej nie ujdzie”. Mylą się jednak. Generał Śmigły jest otoczony, ale nie pobity. Stoi nad Dnieprem (rzeka Dniepr oznaczona jest grubą czarną linią) w Kijowie, dopóki go Wódz Naczelny nie odwoła rozkazem. Wyprowadzi też z Ukrainy całą swą armję znużoną, ale spragnioną walki i zwycięstwa.

Dzisiaj też w szkołach wojskowych w Rosji, gdy jest mowa, jak należy wykonać odwrót, to zawsze za przykład uczniom stawiają odwrót Śmigłego z 3-ą armją z Kijowa.

Strzałki na rysunku wskazują kierunek, w jakim idą wojska rosyjskie.

O godzinie 8-ej zdobywają nasi Borodziankę. Stalowy pierścień wojsk rosyjskich, osaczających 3-ą armję, jest przerąbany.

Daremnie zawczasu chełpili się czerwoni, zapewniając, że „żywa noga z armji polskiej z Kijowa nie wyjdzie“.

Tymczasem Zdwiż przekracza nie tylko „żywa noga“, ale i wszystkie tabory armji.

Otrząsając się co chwila, szczerząc kły bagnetów, to kłusując nimi śmiertelnie, armja Śmigłego, mimo znużenia i niewyspania, w nieustannej bitwie, uparcie i spokojnie, kilometr za kilometrem, dąży w stronę zachodu. Jest Śmigły szczęśliwszy, niż Żółkiewski. Ten wielki hetman przed 300 laty, w roku 1620, obskoczony przez nieprzyjaciela, cofał się tak samo ku granicom Ojczyzny, lecz mając niekarnego żołnierza, głowę tuż u progu Rzeczypospolitej położył. Szczęśliwszy jest Śmigły — wyborowe, żelazne oddziały prowadzi. Idzie też i marzy, żeby gdzieś wreszcie, w dobrej chwili, móc skoczyć i zdusić czerwoną „konną armję“. Ona, nie kto inny, wprawia w ruch cały ten front. Niechaj się pilnują Woroszyłow i Budienny!

Źle jest z Polakami. Na północy, przez Mińsk — Wilno, czerwoni idą jak powódź. Na południu, na Ukrainie, nikt już nie wie, co się dzieje. Gdzie są swoi, a gdzie nieprzyjaciel. Rozkazy nie dochodzą. Raz pchnięty front, toczy się bezwładnie, jak kamień po pochyłości, krusząc się po drodze. Tu i ówdzie ludzie małego serca krzyczą rozpaczliwie: wszystko jest stracone! Najgłośniej zaś wrzeszczą na tyłach ci, co zawsze wszędzie strachy widzą: „konna armja“ idzie! Budienny idzie! Jakby przed wiekami: Tatarzy idą! I tchórzliwie głowy chowają.

Wśród tego popłochu, który nadchodzi od tyłu, twardo krok za krokiem powraca armja Śmigłego. Strudzony żołnierz nie rozumie, dlaczego odchodzi. Przecież ma broń w ręku, naboje w ładownicy. Gdy powtarza się to dzień za dniem, noc za nocą, tydzień za tygodniem — gorycz wstępuje w prostą duszę żołnierza. Nie rozumie, ani poco się cofa, ani dlaczego nie dadzą mu spocząć. Połowa ludzi idzie bez butów.

Woroszyłow zaś z Budiennym, dwaj dowódcy czerwonej „konnej armji“, mają nielada szczęście. W czepku się obaj zrodzili. Pod miasteczkiem Korzec kuli konie i nie udało się ich wziąć. Zastawia na nich Śmigły łapkę pod Równem — choć z poszarpanemi bokami, ale wydarli się. Pod Brodami Śmigły kończy już niemal dociągać swoją straszliwą sieć wokół „konnej armji“, gdy musi przerwać bitwę z rozkazu Naczelnego Wodza: „Baczność! Na północy grozi nam klęska. Front, mur z piersi żołnierskich, osłaniający Ojczyznę, wali się. Śmigły, dawajcie natychmiast, w tej godzinie, jedną dywizję“.

Rozluźnia się złowrogi uścisk Polaków. Przez opuszczone stanowiska tej dywizji wyleci znów na przestwór uszczęśliwiona „konna armja“, pozbędzie się dreszczów strachu.

Wykończą wreszcie „konną“ Polacy, lecz ileż przedtem nabroi. Śmigłego już się ona nie czepia. Odwraca się od niego i gdy nawet rosyjski wódz naczelny nakazuje iść Woroszyłowowi i Budiennemu bardziej ku północy, w stronę Śmigłego — ci idą na Lwów, w przeciwną stronę. Pohulać chce swobodnie dusza kozacka. Wstrzymana pod Lwowem zapalczywą obroną, „konna armja“ usłucha wreszcie rozkazu i spóźniona ruszy ku północy, na Zamość, ale tam zostanie nareszcie rozgromiona.

Niedobitki uciekną, paląc po drodze zażydzone miasteczka wołyńskie i pilnie nasłuchając pogoni polskiej jazdy za sobą.

Ale kiedy to się stanie, Śmigły będzie już wojować w innej świata stronie.

Darmie! Ukraina

Nie za darmo dostaje się Ojczyzna.

Rzeki krwi przedtem muszą być przelane — własnej i wrogów. Rzeki tak głębokie, że w nich jedni z wrogów zatoną, a drudzy przed nimi przystaną.

Twardą ręką Los próbuje Polaków. Ze szczytu mocy rzuca ich na dno otchłani. Czy niema już dla nich ratunku?

Kiedy Śmigły ze swą armją dochodzi do Bugu, nasze armje północne zbliżają się już, niestety, do Wisły. Musi się cofać dalej Śmigły, kiedy cały front się cofa. Ale coraz widoczniejszem się staje, że jego upór, jego wola skuwa 3-ą armję w jednolitą skałę. I choć przesuwają się ona na zachód, ciągle pozostaje skałą, jest nieprzyjacielowi groźna.

Dowództwo też nad coraz to większym frontem przechodzi do rąk Śmigłego. Dowództwo — to znaczy odpowiedzialność. Odpowiedzialność zaś może mieć ten, kto ma moc. Śmigły jest już nie tylko dowódcą 3-ej armji, ale całego frontu południowego.

Wojsko polskie z północy, z nad Dźwiny i Berezyny, zemdlące z utrudzenia i niemal bose, podchodzi już pod Warszawę. Czerwoni nie mogą go przychwycić, żeby zniszczyć. Odsuwa się od ciosu. Czerwoni walą początkowo naprzód z krzykami: „Na Wilno — Mińsk — Warszawę — marsz!“ A później, gdy minęli Wilno i Mińsk, wrzeszczą: „Dajosz Warszawu!“

— Po trupie Polski — piszą w gazetach i krzyczą przez radio — wiedzie droga do wszechświatowego pożaru! Biada Polakom!

*i dlatego my
Śmigły maćmy
Polskę*

Polska ze zgrozą, a świat obojętnie, powtarza jak echo: biada Polakom!

Wódz Naczelny osądza, że najwyższy jest czas zmienić bieg partji. Od Dźwiny i Dniepru ciągle czerwoni wychodzą. Tu, nad Wisłą, Polacy muszą wyjść. Już czas, jeżeli Polska nie ma być naprawdę trupem. I to trzeba wyjść mocno. Ale gdzie są atuty?

Zemdlały nogi żołnierzy. Struchlało serce niejednego z dowódców.

— Zginęliśmy! — powtarzają na tyłach.

Gdzie są atuty? — pyta siebie Wódz Naczelny.

Są, są napewno. Pierwszym i największym jest On sam, Jego wiara w odmianę losu, w zwycięstwo.

Drugim atutem są ci dowódcy, którzy idą za Nim „bez wahania, bez chwili namysłu, nie pytając się, czy los ich nie będzie podobny do losu tylu ich poprzedzających żołnierzy polskich“.

Wśród tych dowódców, którzy stoją „w obronie jeśli już nie szczęścia Ojczyzny, to przynajmniej jej honoru“, tu na froncie pierwszy jest Śmigły. Stoi za nim armja, którą wyprowadził w całości z nad Dniepru.

Śmigły jest więc na czele tych dowódców, którzy są drugim atutem Naczelnego Wodza.

Trzecim jest żołnierz, który marzy, żeby wreszcie pójść naprzód i który posiada trojakie siły polskiego żołnierza.

Rozjaśnia się twarz Naczelnego Wodza.

— Niechaj Śmigły przygotowuje się do nowej pracy bojowej. Dywizje, które wyprowadził z Kijowa, najpiękniejsze w niej będą miały zadanie.

Nad Bugiem kończy Śmigły swój odwrót. Nieprzyjaciół, choć na froncie południowym jeszcze próbuje

nacierać, lecz widać, że już zemdłał. Zaczyna deptać na miejscu. Śmigły myśli o nowem natarciu i całą jego armją o tem marzy wraz z nim.

Chęć zaś do natarcia jest już więcej, niż połowę zwycięstwa.

Wódz Naczelny pragnie przed Wisłą wydać walną bitwę czerwonym. Chce mieć do niej jak najwięcej dywizyj. Nakazuje Śmigłemu oddać trzy z jego frontu. Jedną zabiera już z boju z „konną armją“ pod Brodami. Dwie inne z brygadą jazdy mają odskoczyć wtył i urwać się od nieprzyjaciela nad Bugiem.

Niebardzo też w duszy rachuje Wódz Naczelny, że rzecz się uda. „Zadanie — myśli — przerasta przeciętne siły ludzkie. Obie dywizje stoją od 150 do 250 kilometrów od rzeki Wieprz, do której każę im dojść. Nasiada na nie nieprzyjaciel. Najwyżej Śmigły potrafi ściągnąć jedną dywizję piechoty i jedną brygadę jazdy. O drugiej dywizji zabraniam sobie nawet marzyć“.

Śmigły sądzi również, że zadanie jest bardzo trudne, lecz zadaniem wodza jest pokonywać największe przeszkody. Góż tedy czyni? Przedewszystkiem postanawia pozbyć się wroga. Chytrość w boju jest tyle warta co siła, a nieraz i więcej. Obie wyznaczone dywizje uderzają tedy na czerwonych. 1-sza legjonowa bierze przytem 8 dział, 3-a legjonowa tak samo nie może się skarżyć na marną zdobycz. Przetrzepani Rosjanie uspokajają się.

Tymczasem Śmigły ładuje jedną dywizję na transporty, a drugą, dla której nie starczyło wagonów, posyła pieszo na miejsce zbiórki, wyznaczone przez Naczelnego Wodza.

I co powiecie, co za dziwna rzecz? Nieprzyjaciel wie o ich marszu, lecz nic nie czyni, żeby temu prze-

szkodzić. Takie już zaślepienie pada na Rosjan. Pod Chełmem, przy zabitym oficerze polskim, czerwoni znajdują rozkaz, w którym jest napisane, czarno na białem, które dywizje idą nad Wieprz. Lecz wodzowie rosyjscy nie wierzą. Jakże to możliwe? — przecież te dywizje biją właśnie czerwonych na froncie pod Hrubieszowem.

— Bujda! — mówią bolszewicy. — Rozkaz jest fałszywy i umyślnie go nam Polacy podrzucili.

Tak to zmyliwszy ślady, cicho, jak wilki, dążące na wyprawę, przemykają się te dywizje, żeby się ustawić w zasadzce.

Tem działaniem Śmigły daje nowy atut w ręce Naczelnego Wodza.

Skąpy na wszelkie pochwały Marszałek Piłsudski po latach w pamiętniku swym o wojnie napisze o tej pracy Śmigłego, że „rozwiązał swe zadanie w sposób nadzwyczaj zręczny”. Uzna działania jego i dwóch jego dywizyj „jako jeden z najchlubniejszych czynów, jakie armja polska wykonała”.

Tem uznaniem dla Śmigłego pasuje go też Wódz Naczelny jednocześnie na największego po sobie wodza w wojnie z Rosją, boć o nikim innym słów równie chwalebnych nie wypowiedział.

Rozumiecie teraz, jakim atutem w bitwie co nadchodziła, był w rękach Wodza Naczelnego sam Śmigły.

Opuszczając front ukraiński, „czuje się Śmigły zwycięzcą”. Wyprowadził swą armję. Po trzech miesiącach boju, z dowódcy korpusu stał się dowódcą frontu.

— Nieprzyjacieli, którego mamy przed sobą — rozważa — jest stokroć bardziej zmęczony, pozbawiony dowozu żywności i amunicji, wtedy, gdy my jesteśmy skupieni,

blisko od swoich składów i miejsc, skąd nam wszystkiego dostarczą. Pierwsze nasze uderzenie rozbija Rosjan. My w tej chwili nabieramy sił ciała do uderzenia. Siłę ducha posiadamy.

— Pamiętajcie — mówi do swojej armji — co powiedział Wódz Naczelny w rozkazie do odwrotu: „W przeprowadzeniu mądrego i dobrego odwrotu trzeba wykazać więcej wytrwałości ducha i cnót żołnierskich, niż przy natarciu“. Myśmy — 3-a armja — spełnili swe zadanie.

Wdzięczność całego narodu polskiego jest dla nich zapłatą.

Pogodny i pewny zwycięstwa podąża Śmigły do nowej bitwy, do której go woła Wódz Naczelny.

POGROM.

Wódz Naczelny w samotności opracowuje plan bitwy o Polskę. — Bitwa ta zadecyduje, czy Polska będzie czy też jej nie będzie. — 6 sierpnia Naczelny Wódz zdecydował się, gdzie i co czynić. — Śmigły ma iść na skrzydle i zaciągać pętlę wokół nieprzyjaciela. — Śmigły dowódcą grupy uderzeniowej. — 16 sierpnia rusza natarcie polskie z za Wieprza. — Śmigły „siedzi na karaku” skrzydłowej dywizji. — Zwycięstwo zależy od nóg żołnierzy. — Przerazenie ogarnia Rosjan — poczynają uciekać! — Wszystkie drogi na wschód są zamknięte. — Armja Śmigłego wyprowadza sąsiednią. — Krwawy bój o Białystok. — Pierścień wokół armij czerwonych zamyka się całkowicie. — Śmigły dochodzi do granicy pruskiej.

„Jeszcze pamiętam ten wrzask i to wycie
Różnych narodów i różnych języków,
Gdy te ludyszcza przy Wisły korycie
Przyparłem do fal falą moich szyków
Aż mi o jasnym wyprawili świcie
Najstarszych z wojska swoich tysiączników
Prosząc o pokój...”

J. Słowacki.

Do wielkiej bitwy o los Polski, jej życie lub też śmierć przygotowuje siebie i swoje wojsko Wódz Naczelny. Przez miesiąc już dywizje polskie odchodzą przed nieprzyjacielem. Są poszarpane, znużone, lecz całe. Duch w nich nie zagasł, a duch, chęć do walki, daje ostateczne zwycięstwo. Nic to, że większości żołnierzy trzewiki się rozleciały. W lipcu ciepły jest piach na naszych drogach.

O, gdyby tak dać żołnierzom kilka dni odpoczynku, ciepłą strawę i ze trzy noce snu — znów poszliby naprzód, nie tylko do Dniepru i rzeczki Auty, skąd rozpoczęli odwrót, lecz jeszcze z tysiąc kilometrów dalej. Ale tych trzech nocy snu i trzech dni wytchnienia niema skąd wziąć.

Nieprzyjaciel jest pewien ostatecznego zwycięstwa. Głosi je w gazetach i telegraficznie o klęsce Polaków zawiadamia cały świat. Nie przerywa też ani na godzinę pościgu. Zmęczony żołnierz, który zaśnie na drodze, może być pewny, że obudzi się w niewoli albo też na drugim świecie.

Dzień wytchnienia dla Polaków może się łatwo zamienić w dzień klęski.

Czerwoni zajęli już niemal połowę Polski, boć prawem swem skrzydłem do Wisły dochodzą.

W Polsce popłoch i przerażenie. Dotąd na dalekich ziemiach granicznych osłaniały ją piersi żołnierzy, aż tu macie! — wojska nieprzyjacielskie w samym środku kraju. Codzień wróg zapala wioski i niszczy dobytek.

Lęk unosi się nad Polską!

I tylko jedno serce, serce wodza, nie zna trwogi. Spokojna jest dlatego dusza wojska. Żołnierz ściska karabin i marzy o odwecie. Narasta w nim wiara, że cały ten odwrót jest widać potrzebny i że kiedy nadejdzie pora, Wódz Naczelny powie: — Dosyć! Ani kroku dalej!

W samotności, po pokojach belwederskich przechadza się Naczelny Wódz. Długo w noc nie gaśnie światło w Jego izbie. Rozmyśla, postanawia plany, jak pobić wroga, to znów je odrzuca, szukając lepszych. Już wie, że przed Wisłą będzie kres odwrotu i że przed Wisłą wyda nieprzyjacielowi walną bitwę.

Wrzesień 1935 roku. Na ćwiczeniach pod Ozorkowem.



Lotnik melduje Naczelnemu Wodzowi: „Panie Generale! Melduję posłusznie
— widziałem kolumny nieprzyjacielskie...“.

Zauważcie, koledzy, jak się musi czuć, kiedy wie, że od Jego rachunku, od Jego postanowienia i wykonania, zależy los państwa. Jeżeli bitwę wygra — będzie Polska, jeżeli przegra — nikt za Nią się nie upomni. I jeżeli kiedy, to w te dni i w te noce drży w męce trwożliwej ten olbrzym woli. Drży Jego serce, jak liść samotny na wietrze jesiennym. Drży o Polskę.

„Czuje się jak słaba dziewczyna, męcząca się w położu. Nie może sobie dać rady, przecież ze słabości musi dać siłę.“ Z uchodzących przed wrogiem bosych i zgłodniałych dywizyj, którym się należy wypoczynek, a nie bój, ma, jak czarownik jakiś, stworzyć, wykuć stalowy młot. I ten młot musi być tak potężny, że rozbije nim groźne armje czerwonych.

Zadanie ponad siły ludzkie.

Jeżeli rzecz się nie uda, nie będzie Polski.

O Nią więc drży serce Naczelnego Wodza.

Ileż to lat o Nią walczył? A iluż najlepszych ludzi w narodzie walczyło podobnie jak On? A przedtem jeszcze?

I od Jego postanowienia, Jego — Józefa Piłsudskiego — zależy, czy będzie Polska.

Huk armat nieprzyjacielskich słysząc już w Warszawie, kiedy w noc na 6 sierpnia Wódz Naczelny tworzy ostatecznie plan bitwy. Szczęśliwy to dzień dla Polski ten 6 sierpnia. Pamiętny! Przecież przed laty sześciu w ten sam dzień pierwsza kompanja kadrowa obaliła słup graniczny, rozdzielający Polskę. Czy na zawsze? Czy nikt go już nie podźwignie? Przecież po to, nie po co innego, wali się na nas nawała bolszewicka, żeby go znów ustawić.

Wódz Naczelny wie, że będzie walczyć do ostatka. Jest jak kapitan na statku morskim i jak on nie opuści swego wojska. Albo z niem zwycięży, albo zginie.

6 sierpnia postanawia Wódz Naczelny, gdzie, w którym miejscu, stoczy bitwę, gdzie i kto ją rozpocznie, komu, gdzie dowództwo powierzy, gdzie, w jakim miejscu, jakie dywizje rzuci.

Tam, gdzie jest najważniejsze miejsce boju, pójdzie nie kto inny, a Śmigły. Los bitwy zależy od wysiłku, męstwa żołnierza i szybkości jego nóg. Nikt inny nie umie tak szybko przebywać dalekiej drogi, jak Śmigły.

Na czym ma polegać praca Śmigłego?

Czerwoni są zwrócenii twarzą ku Wiśle, przed którą zaparli się Polacy. Niestety, niewiele dywizyj polskich da się stamtąd wycofać, lecz te, co się da, skupia Wódz Naczelny na prawym skrzydle. Stąd z południa, z nad Wieprza, wpadającego do Wisły, ruszy natarcie na skrzydło i tyły Rosjan.

Widzieliście pewnie na ślizgawce, albo też sami może zabawialiście się w węża. Staje rząd chłopaków, biorąc się za ręce. Lewoskrzydłowy obraca się na miejscu, a cały rząd poczyną naokoło niego wirować. Ten, co jest na prawym skrzydle, musi być najmocniejszy, mieć siłę w rękach i w nogach, żeby się utrzymać, żeby nie upaść.

To samo ma się stać w bitwie, która rozpocznie się z nad Wieprza. I tym, który stanie na prawym skrzydle i ma przebyć najdalszą drogę, najprędzej biec — jest nie kto inny, a właśnie znowu generał Śmigły.

Na najtrudniejszym i najzaszczytniejszym miejscu pewnego pomocnika ustawia Wódz Naczelny.

Jakże to wielka chwała dla Śmigłego.

W natarciu otrzymuje on nazwę „dowódcy grupy uderzeniowej“.

Wódz Naczelny postanawia być sam w miejscu najważniejszym i sam dowodzić. Jedzie do Puław, gdzie w okolicy odpoczywają ściągnięte z frontu i wyzna-

czone do napadu dywizje. Wódz Naczelny odwiedza pułki i najmężniejszym w bojach żołnierzom rozdaje krzyże „Virtuti Militari”. Mówi im, że pójdą do bitwy, od której zależy zwycięstwo lub śmierć Polski. Trzeciej rzeczy do wyboru niema. Od męstwa i nóg żołnierzy zależy wszystko, powtarza.

13 sierpnia, w osadzie Irena, pod Dęblinem, Wódz Naczelny wyjawia dowódcom armij, wyznaczonym do natarcia, cały plan bitwy. Na samem prawem skrzydle, „zachodzącym ramieniem” będzie 1-a dywizja legjonowa i z nią pójdzie „sam Śmigły”. Nic to, że dywizja ta doskonale chodzi. Gdy „będzie mieć Śmigłego na karku”, pójdzie jeszcze lepiej. Nietylko pójdzie, ale pobiegnie. Od jej szybkości przedewszystkiem zależy, jak głęboko na tyły Rosjan wedrą się Polacy.

Dlatego z nią będzie szedł „sam Śmigły”.

Kiedy już wola jednego człowieka, Wodza Naczelnego, poczyną zmieniać bieg rzeczy, wówczas nieba, jakby sprzyjając mężnym, podają mu życzliwą dłoń. W ten sam dzień zawiązuje się uporczywa i krwawa bitwa pod samą Warszawą. Czerwoni widzą już wieże kościołów i jak najprędzej chcą wedrzeć się do miasta, wziąć olbrzymią zdobycz. Dowódcy-komisarze obiecują im, że trzy dni, cały tydzień, będą mogli hulać w mieście.

Jak to dobrze, że Rosjanie mocno się zwarli z naszymi pod Warszawą. Zmęczą się w natarciach. Będzie im trudno też wykonać zwrot, kiedy „grupa uderzeniowa” zwali im się na skrzydło i na tyły.

Ale dzieje się jeszcze lepiej. Czerwoni napotykaą niespodziany i silny opór pod Warszawą. Poco tu się krwawić? — myślą. Obejdźmy Polaków od północy. I wielkie siły rosyjskie wymijają stolicę Polski od północy. W roku 1831 powiódł się Paszkiewiczowi taki

„manewr za Wisłę“. Przekroczył rzekę pod Toruniem i runął na Warszawę z północnego zachodu. W nagrodę dał mu car tytuł „księcia warszawskiego“.

Teraz czerwoni podążają tą samą drogą na Płock, Włocławek i Modlin. Tracą czas... i odchodzą od miejsca, gdzie Naczelnny Wódz polski rozpocznie ich bić.

A kiedy „grupa uderzeniowa“ pójdzie naprzód, wówczas te armje rosyjskie z nad dolnej Wisły, z pod Płocka i Włocławka, będą miały daleką drogę do ucieczki.

— Coraz lepiej się dzieje! — mówi do siebie Wódz Naczelnny.

Jego wiara przenika wdół, do żołnierzy. Wszyscy widzą, że coś się odmieniło, jakiś nowy wiatr powiał.

Gotuje się żołnierz do bitwy.

3-a, doświadczona w bojach, armja ma wspólnie z 4-ą, będącą dalej na zachodzie, uderzyć na północ. Lecz przecież na wschód od 3-ej stoją czerwone dywizje. Od nich się Śmigły zabezpiecza częścią swoich wojsk, nakazując im: *„Macie być jako mur, z poza którego ruszy bezpiecznie na wroga 4-a armja. Z trójkąta Lubartów-Krasnystaw-Kraśnik uczynicie twierdzę, której nie dacie Rosjanom przełamać. Później zaś, gdy to im się nie powiedzie, dołączycie do wojsk nacierających.“*

Pozostawiając „grupę osłonową“ innemu dowódcy, 16-go sierpnia, o pogodnym świcie, przyjeżdża Śmigły do Lubartowa, skąd rusza 1-a dywizja. Nieprzyjaciela ma przed sobą niewiele. Co było, poszło już na zachód.

Natomiast sąsiad Śmigłego z lewej strony, 4-a armja, idzie w gąszcz. Pierwszego dnia natarcia rozbija jedną dywizję czerwoną, drugiego — dwie. I już rękę podaje dywizjom polskim, które ruszają wprost z pod Warszawy na wroga.

Rosjanie są zaskoczeni siłą naszego natarcia. Gdzie, jak stawić opór, gdy na plecach już mają Polaków. A przed sobą też ich mają. Pomieszane dywizje czerwonych poczynają uciekać na wschód, pozostawiając tysiące jeńców i dziesiątki dział.

O oporze czerwoni nie marzą już nawet. Widmo pogromu przed nimi. Śmierć lub niewola! Pozostaje ucieczka. Ale jak, dokąd, kiedy na prawem, wschodniem skrzydle Polaków, „na karku 1-ej legjonowej, siedzi Śmigły“ i ta biegnie, odcinając im drogę.

„Wściekłego galopa poczyną rznąć muzyka wojny“.

Dla jednych radość, dla innych straszliwa trwoga.

Napróżno przerażony dowódca frontu rosyjskiego krzyczy swym armjom, żeby się cofały na Bug i Narew. Później weźmiecie Warszawę! Już im te rozkazy są niepotrzebne, już uciekają w popłochu. O wzięciu Warszawy już nie myślą. Nie mają wśród siebie dobrego wodza, którego się w dniach lęku poznaje.

„Grupa uderzeniowa“ skoczyła naprzód. Wschodnie jej skrzydło znalazło się blisko Brześcia. Biada czerwonym dywizjom!

Prędko i dobrze chodzą żołnierze polscy. Posłuchajcie, jakie to kilometry przemierzali w te sławne dni, które okryły wielką chwałą Wodza Naczelnego, nasze wojsko i całą Polskę. Jeden z pułków 1-ej legjonowej, 16 sierpnia przebył 54 kilometry; żołnierze spali 3 godziny. Następnego dnia, znużeni, przeszli już tylko 37 kilometrów i spali 5 godzin. To ich wzmocniło, bo trzeciego dnia, dorwawszy się do bolszewików, pędzili za nimi 45 kilometrów, a straż przednia 56 kilometrów i do tego 7 godzin boju. Pospali 4 godziny i dalej w drogę. Trzeba odciąć czerwonym szosę, więc idą dzień i noc 72 kilometry, a straż przednia — 83 kilo-

metry. Naprzód i naprzód! Takiego tempa pragnie Wódz Naczelny. Zwycięstwo jest w nogach. Szóstego dnia pułk przeszedł 39 kilometrów i do świtu następnego tylko 15 kilometrów, bo zaczął bój, który trwał 14 godzin. W sześć dni uszedł pułk 261 kilometrów, z Lubartowa do Białegostoku.

Dobrze chodzą polscy żołnierze. Dzięki temu, zwycięstwo stało się wielkie.

Dywizje „grupy uderzeniowej“ dobiegły do Bugu. Ta najważniejsza, prawoskrzydłowa, przechodzi go w boju pod Drohiczyńnem. Bierze jeńców i działa. Reszta Rosjan ucieka, ale niedaleko. 4-a brygada jazdy, pilnująca prawego skrzydła dywizji, zabierze ich jak swoich — 40 dział i 3 300 ludzi.

Wszędzie ludność pomaga naszym. Zewsząd słychać w lasach i na polach wystrzały. To chłopci polują na błakających się bolszewików i wydają ich w ręce naszych żołnierzy. To partyzanci, wyrosli z pod ziemi, nękają ogniem zbite, stłoczone tabory na drogach.

Dywizje prą naprzód. Rozkazy Śmigłego dochodzą do nich w marszu, bo ciągle idą i idą. Już im nie wskazują celów, a tylko, jak cwałującym koniom, poprawiają kierunek. Wprost na przeszkodę, na czerwonych! Dywizje biegną już nie siłami ludzi, a wolą wodzów. Wszyscy rozumieją, że każde dziesięć kilometrów naprzód warte jest wygranej bitwy.

A droga nie jest łatwa. Czerwoni z pod Warszawy uciekają po dobrych szosach, nasze zaś dywizje, idąc im wpoprzek, plotą się jakimiś polnemi drogami, wyjeżdżonemi przez chłopskie wózki. Lecz czegoż nie dokona żołnierz, który widzi przed sobą zwycięstwo?

Naprzód! Naprzód! Dowódcy niech dają nagrody za szybkość.

Jak śnieg pod gorącym słońcem, tak topnieją wojska czerwone pod naszym uderzeniem.

Już Polacy przekroczyli Bug. Już Śmigły daleko odszedł od trójkąta Lubartów-Krasnystaw-Kraśnik, którego załoga ostoniła „grupę uderzeniową“, gdy ta się zbierała do napadu. Nie może się więc generał zajmować tą załogą nadal. Patrzy na północ. Na północy ma walczyć. Między nim, „zachodzącym ramieniem“ Naczelnego Wodza, i granicą wschodniopruską znajdują się ogromne siły rosyjskie. Już są skłębione, pomieszane, lecz jeszcze groźne liczbą: część 16-ej i całe: 3-a, 15-a i 4-a armje czerwone. Na samem zaś północnem skrzydle — korpus jazdy rosyjskiej.

Te wszystkie wojska wiedzą, że zamyka się za niemi żelazny pierścień armij polskich. Nie wiedzą tylko, że będzie on podwójny.

Ogarnięci przerażeniem, pomieszawszy dywizje, pułki i bataljony — czerwoni uciekają.

Wódz Naczelny nakazuje Śmigłemu ścigać ich po osi Międzyrzecz—Białystok. Daje mu do tej pracy 2-ą armję — trzy dywizje piechoty i brygadę jazdy.

— Naprzód Śmigły!

Żołnierze mało śpią i niewiele jedzą, kuchnie i taborry daleko pozostały wtyle, a kraj objedzony przez Rosjan. Lecz czy w takim pościgu, który decyduje o przyszłości narodu na wiele set lat, wolno się żołnierzowi roztkliwiać nad sobą i Wodzowi nad nim?

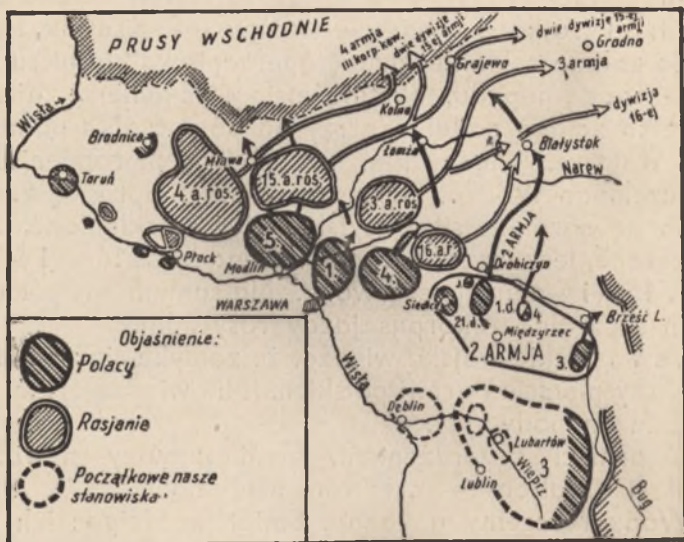
Dzieci nasze nie będą wiedziały nawet, czy ten żołnierz wtedy jadł i spał, lecz zapytają:

— A co on zrobił?

Śmigły nakazuje brać podwody i pchać się naprzód.

Praca żołnierzy jest wielka, lecz zapłata będzie olbrzymia.

Sam generał posuwa się za oddziałami. Ma jak najwcześniej zająć Białystok i tu, na głównej drodze odwrotu czerwonych, postawić im nieprzebytą zaporę.



Wielka bitwa nad Wisłą.

Mamy tu narysowane położenie obu stron — polskiej i rosyjskiej. Polacy są zwrócenii twarzą ku wschodowi. Wycofać się za Wisłę nie mogą, byłoby to końcem Polski. Z za Wisły jużby się nie mogli wydostać na wschodni brzeg. Dlatego Wódz Naczelny koniecznie chce mieć bój, gdzie wszystko postawi na kartę, na wschód od Wisły. I gdy bolszewicy, pewni swego zwycięstwa, poczynają biec naosłep na Warszawę i obchodzić ją od północy, Wódz Naczelny uderza na nich z nad Wieprza.

Przerwaną kreską oznaczone jest miejsce, skąd wyruszyła 3 armia generała Śmigłego, nacierając na skrzydło Rosjan. Później część jej pozostała przy Brześciu, a reszta z nowymi dywizjami, nazwana 2-ą armią, pod generałem Śmigłym poszła dalej w pójscigu.

Widzimy na rysunku, jak Polacy (czarne strzałki) zachodzą na tyły Rosjan i odcinają ich od wschodu. Napisy wskazują, co i gdzie z wojsk bolszewickich uciekło.

Kiedy tak Śmigły jedzie za swemi wojskami i widzi, jak pierzcha przed nim nieprzyjaciół, dzień po dniu rozbijany gwałtownymi natarciami jego straży przednich, myśli ze śmiechem, że go już w tej chwili nikt nie dogoni z tyłu. Kto mógłby zresztą?

„Konna armja“, nadszarpięta pod Brodami, poszła w drugą stronę i szturmuje napróżno Lwów. Wreszcie upartych jej dowódców, Woroszyłowa i Budiennego, zmusi naczelny wódz rosyjski, żeby zawrócili na północ. Uczynią tak, ale jest za późno. Dziesięć dni minie, zanim podejda pod Zamość, gdzie już na nich czekają nasi i tęgo ich przetrzepią. Do końca wojny już się nie podniosą na nogi.

*

Spokojny o swe tyły, do Białegostoku podąża Śmigły.

*

Zdobyła 2-a armja przeprawy na Narwi, przeszła ją i dąży uparcie dalej na północ, osaczając przeciwnika. Wymijając już zaczyna sąsiednią 4-ą, co bardziej wprzodzie stała przy rozpoczęciu bitwy w dniu 16-go sierpnia.

W miarę jak nasze armje idą ku północy, zamykając drogi na wschód, czerwoni również biegną w tę stronę. Ale biegną z rozpaczą w sercach i odrobiną nadziei, co nigdy nie opuszcza człowieka. A może tam gdzieś wreszcie uda się przejść?

Daremne marzenia. Biada Rosjanom!

16 armja czerwona posuwa się zwartą, bezładną masą. Poszła na Drohiczyn, a tu już są Polacy.

Rzuciła się więc bardziej ku północy, na Bielsk, ale tam ją dobrze przetrzepała 1-a dywizja legjonowa. Próbuje się przez nią przebić, lecz nie da się. Coraz większe marsze wykonywają dywizje 16-ej armji i ciągle mają przed sobą Polaków. Wiele się tu na-

męczą, zanim umrą. W rozpaczcy czerwoni rzucają cały swój majątek, palą, niszczą tabory i luzem starają się uciec. Napróżno.

Rozpoczyna się pogrom, z którego niewielu ujdzie.

22 sierpnia resztką 16-ej armji doszła do Tykocina i Osowca i tu poczęła się przeprawiać przez Narew i Biebrzę. Ale nie uszła. Ruszyła dalej na Białystok i tu ją nasi dostali w uścisk żelazny.

Wypierając ostatni niemal dech z piersi, straż przednia skrzydłowej dywizji 2-ej armji doszła już nocą do Białegostoku. Od wschodu ma uderzyć na czerwonych. Sporo ludzi z niej, zemdlonych z wysiłku, zostało na drodze. O świcie nasi uderzają na miasto i zdobywają je do godziny 7-ej rano, biorąc ponad 2.000 jeńców i 13 dział.

Niema wiele czasu na liczenie zdobyczy. O godzinie 8-ej dochodzą już do miasta przednie straże 16-ej armji i części 3-ej armji czerwonej. Chcą się przebić na wschód. Przychodzą o godzinę za późno. Droga na wschód prowadzi po trupie brygady 1-ej dywizji legionowej.

Bój, jak burza, szaleje cały dzień w mieście. Mimo, że na naszą brygadę nacierają początkowo dwie dywizje, a później i więcej, ani myśli ona o odejściu. Mimo rozpaczliwego wysiłku ze strony Rosjan, nasz żołnierz, który zapomniał o zmęczeniu, nie ustępuje za żadną cenę. Bije się przed miastem, bije się na ulicach, ale walczy uparcie. Wreszcie już niema sił, żeby nawet myśleć o odwrocie. Pod wieczór szarżuje jazda czerwona i część jej się przerywa. Ale Rosjanie nie przechodzą. Wieczorem widzą swą klęskę. Część ich oddziałów w rozsypce omija Białystok od północy.

W rękach Polaków pozostaje 7.000 jeńców i 24 działa.

16-a armja zostaje zupełnie zniszczona.

„Wydostały się z niej marne resztki groźnych niegdyś dywizyj“, powie po latach jeden z jej dowódców.

Coraz bardziej zwęża się korytarz między granicą Prus Wschodnich, a „prawem, zachodzącym ramieniem“ Naczelnego Wodza, to jest 2-ą armją Śmigłego, przez który to korytarz nieprzyjacieli usiłuje się wymknąć.

Próby rosyjskie zatrzymania pościgu „nacierających ze wściekłą szybkością“ armij polskich nie udały się. Co mężniejsze dywizje czerwone walczyły zaciekle, chcąc się wydostać z matni, lecz przedostawszy się przez jeden zaciskający ich pierścień wojsk polskich, wpadały na drugi — zaporę, postawioną przez 2-ą armję.

Pozostaje już tylko wąski korytarzyk, którym na północny wschód pragnie się przedostać 4-a armja sowiecka, co wraz z III korpusem konnym mężnie przebiła się już raz przez oddziały polskie. Posuwa się ta armja na Osowiec i Grajewo, Wódz Naczelny nakazuje Śmigłemu ruszyć w tym kierunku. Ubezpieczyć się od wschodu i pomknąć na zachód. Dotrzeć do granicy Prus Wschodnich.

Zakręcają na miejscu dywizje 2-ej armji. Ale ten marsz okazuje się już niepotrzebny. 4-a armja sowiecka oraz konny korpus w ostatniej rozpacz, widząc drogę zamkniętą do ojczyzny, przeszły do Prus Wschodnich. 3-a zaś armja czerwona zdołała się wymknąć.

Pościg Śmigłego i praca jego armji jest więc zakończona.

Ale czy zakończona jest też praca całego wojska polskiego? Otoczone armje rosyjskie są całkowicie niemal zniszczone. Polacy biorą 66.000 jeńców, 30.000

Rosjan przechodzi do Prus Wchodnich. Resztki błąkają się rozbite po lasach.

Z pogromu sił rosyjskich, z 4 armji nikt nie wyszedł, z 15-ej armji ledwie 700 walczących, z 3-ej armji — 2.000 walczących, i z 16-ej armji — 1.000 walczących.

A szło na Warszawę 160 tysięcy tych, co trzymali w rękach karabin lub szablę, nie licząc mrowia, które podążało za nimi.

W ziemi naszej dla wielu tysięcy ich starczyło miejsca ... na groby.

ZA NIEMEN.

Niedorąbany las odrasta. — Rosjanie ściągają odwody. — Litwini grożą nam napadem. — Chyćtrość jest siłą. — Śmigły ma główne zadanie. — Odsunięcie z drogi Litwinów. — Natarcie na Rosjan nad Niemnem. — Dzielnie się bronią Rosjanie. — Czy grupa skrzydłowa ma iść dalej? — 3-a armja rosyjska w odwrocie. — Zamknięcie jej drogi odejścia. — Bój w Lidzie. — Ściągać do upadłego! — Liczenie zdobyczy. — Zawarcie pokoju.

„Po Dźwiny, Odry i Dniepru koryta
Ziemia duchowi polskiemu podbita“.

J. Słowacki

Niedorąbany las odrasta.

Z pogromu sierpniowego 3-a armja czerwona, jedyna, uszła cała szczęśliwie. Dołączyli do niej ci, co uciekli przez Prusy Wschodnie i Litwę, bądź też samowtór lub gromadkami prześlizgnęli się przez dywizje polskie.

Czerwoni ściągnęli z Rosji nowe wojska, co się jeszcze dało. Uzupełnili pogromione dywizje. Za załogą rzeki Niemna i twierdzy Grodna, popędzane mocno przez komisarzy, ustawiło się to całe towarzystwo do boju.

— Niedorąbany las odrasta! — mówi Wódz Naczelny. Musimy przed zimą jeszcze raz rozbić Rosjan, a wówczas chętnie ułożą się z nami o pokój. A czas go zawierać. Już cały świat po tej naszej wojnie rozumie, gdzie powinna być wschodnia granica Polski. Niema czego dłużej wojować.

Czerwoni myślą: — No, udało się tym Polakom pod Warszawą. Nieostrożnie, za prędko szliśmy.

Ale zmęczyli się Polacy mocno. Nie będą mogli już dalej nacierać, a nawet bronić się, jak na nich uderzymy. Chyba na Ukrainie mogą Polacy bić się jeszcze, tam mają przewagę.

Mylą się czerwoni.

Naczelný Wódz polski rozważa tylko, jak rozprawić się po raz wtóry z Rosjanami. Wojsko ich chce pobić. Na zdobywaniu kraju mu nie zależy, gdy czerwone wojsko zniszczy, jakie chce kraje weźmie. Bez wojska czerwoni nic nie znaczą. Nowego odrazu nie stworzą, a do pokoju im również pilno.

O wielkiej bitwie myśli Wódz Naczelný. I wszyscy żołnierze rozumieją, że bez niej się nie obejdzie.

•

Pościg polski zatrzymał się w Białymstoku. Stamtąd Wódz Naczelný zawrócił Śmigłego na zachód, na Grajewo. Czerwoni na wschodzie, nie słysząc za sobą nawoływań i strzałów pogoni, oprzytomnieli. Zatrzymali się.

W początku września tak ma się sprawa na froncie.

Na północy, nad skrzydłem Polaków, przywarowali Litwini i zazdrosnymi oczami spoglądają. Nie ułamek, a trzy dobrze okryte dywizje. Zerwali z nami, braciaskowie, układy i żądają oddania im Suwalszczyzny. Grożą w każdej chwili napadem. Bracia Litwini, coście tacy skorzy do wojny z nami? Czy na dobre wam samym wyjdzie taka ochota?

Przed nami, nad Niemnem, stoją już uporządkowane armje czerwone: 3-a i cała nowa 15-a. Duże odwody trzymają Rosjanie w Lidzie.

Czerwonych jest więcej, niż Polaków. Do tego jeszcze czyha na to, żeby nam się noga powinęła, tych 30.000 Litwinów. Kto wie, czy się do tego nie zechcą przyłożyć?

Jeszcze dużo mają Polacy do zrobienia.

W Warszawie, w całej Polsce, ludzie szaleją z radości, krzyczą: „Polska nad Wisłą ocalona“, lecz czy Wódz Naczelny ma czas na radość? Dla niego i dla wojska praca nie jest zakończona. Patrzy ze spokojem Wódz Naczelny na wschód, liczy wrogów i rozważa, jak ich pobić.

Żołnierz także ze spokojem patrzy na wschód, czyści broń, przegląda naboje w taśmach i jest pewny zwycięstwa.

— Wyszliśmy z takiej biedy i z takiej zawieruchy — mówi jeden do drugiego — że teraz już nic nam nie straszne. Gdzież to są te armje, co nam na pięty nasiadały od Kijowa i strumienia Auty aż pod Warszawę? Gdzież ta „konna z Woroszyłowem i Budiennym?“ W ziemię je dawno wdeptaliśmy. Już i słuch po nich zaginął. A ci nowi tu przygnani galopem, co stoją na Niemnie, czy ta to potrafią wojować?

— A tych Litwinów — mówi drugi do pierwszego — to ta ciekawe spróbować. Biliśmy się z Ukraińcami, Moskalami, czerwonymi Łotyszami, Chińczykami i setką innych narodów, co z nimi ciągnęli, ale z Litwinami, to się jeszcze nie zdarzyło. Niebardzo to, nieboraki, muszą być wojny uczone. Jak chcą, to nas będą mieli w gościach u siebie. Jak chcą.

— Spróbujemy dobrej kiełbasy litewskiej.

— I krupnik, powiadają, gotują doskonały.

— To i krupniku.

Powiem wam zawczasu, że oszukali się ci nasi żołnierze-gaduły. Nie starczyło im czasu ani wypić, ani zjeść, gdy się do tych Litwinów dorwali. Nawet ich dobrze nie zdążyli obejrzeć, tak się tamtym śpieszyło do domu, a naszym też, ale w inną stronę.

W Brześciu Litewskim, co się tak nazywał, choć w nim nigdy Litwini nie mieszkali, 10 września, Wódz Naczelny tak tłumaczy sprawę dowódcom swoich armij:

— Powtórzmy, panowie, naszą robotę z nad Wieprza, ale, że to już po raz drugi, więc lepiej jeszcze musi być zrobiona. Z tamtej jestem zadowolony i z tej chcę być też. 4-a armja uderzy na czerwonych od czoła, na Wołkowysk, i będzie ich trzymać, żeby się nie mogli ruszać na boki. Śmigły zaś z 2-ą armją obejdzie ich, tym razem dla odmiany od północy, i spadnie ze skrzydła na te ich odwody w Lidzie i na tyły.

Śmigły ma piękną pracę i... wielkie marsze przed sobą. Na swoim lewym skrzydle ustawia dywizje, co mają dobre „chody” i przywykły do przebywania dalekich dróg.

Chcąc dostać się do czerwonych i wleźć im na tyły, musi najpierw Śmigły uspokoić Litwinów. Niedobrze mieć na boku albo na tyle takich niepewnych ludzi, co to trzymają ręce w kieszeniach i z podełba ci się przypatrują.

Śmigły ma szukać czerwonych za Niemnem. Rzeka to niemała, w bród jej łatwo nie przejdiesz. Jak widać, robota ciężka.

Nie chcąc płoszyć Rosjan i napad utrzymać w sekrecie, pisze generał Śmigły w rozkazie do swoich: „Trzeba nam się pilnować od strony Litwinów. Tam jest niewyraźnie...”

Ordynansi, co podsłuchali rozkaz u oficerów, powtórzyli strzelcom: tak i tak, widać na Litwinów idziemy.

I wszyscy myślą.

— To widać na północ nam droga.

Jeżeli Litwini mieli szpiegów, a ci dowiedzieli się o tem, więc może i do czerwonych ta wieść doszła.



Uśmiech Naczelnego Wodza.

— Polacy chcą wygarbować skórę Litwinom.
Chytrość na wojnie tyleż znaczy, co siła.
Wszyscy myślą, że Śmigły idzie naprawdę na północ.

A tymczasem 20-go września trzy dywizje Śmigłego rzucają się wprost ... na wschód, na czerwonych, stojących przed Niemnem. Spychają ich częściowo na rzekę i do starej twierdzy Grodna.

Następnego dnia chce Śmigły, żeby to wojsko odpoczęło, a dopiero 22-go dalej nacierało. Nieprzyjaciel jednak, czując swą siłę, nie zgadza się i wszędzie gwałtownie przeciwuderza. Cóż robić? Trzeba się bić. Zawzięty bój trwa kilka dni. Nasi zdobywają część Grodna i znów je nieprzyjaciel odbiera.

Rosjanie myślą już tylko o Grodnie i Niemnie. Tu zaczynają ściągać odwody. A tymczasem...

...Tymczasem dwie dywizje piechoty i dwie brygady kawalerji Śmigłego, zebrane za lewem skrzydłem, pocichutku, w lasach, przycisnęły się w gotowości do skoku. I gdy wszyscy patrzą na słupy ognia nad Niemnem, na wielkie boje, jakie tam się toczą, te dywizje i brygady — „grupa skrzydłowa“ — ruszają jak burza przed siebie.

Na drodze przed nimi do Niemna stoją Litwini. Z drogi! a żywo. Litwini, gdzież wam się mierzyć z naszymi żołnierzami, nawykłymi do wojny!

Wódz Naczelny nakazał Litwinów oszczędzać. I brat na brata, jak oni, czyha nieraz w zaślepieniu z nożem, lecz czy brat mocniejszy ma zato zaraz słabszego zabić? Tak i Polacy, tyle tylko, że ze zwinnością ludzi, nawykłych do walki wręcz, przytrzymują Litwinów i stalowym uściskiem prawicy wytrąca im nóż z garści.

2-a dywizja litewska w Sejnach, zaskoczona naszym natarciem, ma tyle przytomności, że osłaniając się dzielnymi strażami tylnymi, wymknie się z koła osaczających ją Polaków. Za pokutę, inni mówią — za naukę wojny, zostawi tysiąc jeńców i 12 dział. Dobrze i to.

Stracą wtedy Litwini serce do zaczepki i ochotę do wspierania czerwonych. Próżnować też będzie pozostawiona dla pilnowania ich od północy nasza brygada piechoty.

Potrąciwszy odniechceni Litwinów, biegnie „grupa skrzydłowa“ do Niemna. Ciężkie są marsze. To piaski, gdzie wózki karabinów maszynowych trzeba pchać, to miejscami błoto, gdzie konie przy działach rwą postronki. Nocami zimno. Chleba niema, żołnierz dostaje mąkę, lecz kiedy i gdzie tu, bracie, upieczesz?

W jeden dzień marsz 41 kilometrów, na drugi, że to do samego Niemna już, 49 kilometrów. Most jazda na rzece w Druskenikach chwyciła.

24-go września stają nasi na torze kolejowym między Grodnem i Wilnem. Rozumie się, zaraz rwą szyny. Już do Grodna żaden więcej pociąg nie pójdzie.

Piękną pracę wykonała „grupa skrzydłowa“.

Daj Boże każdemu choć raz podobną zrobić na wojnie.

Zatrzymał Wódz Naczelny „grupę skrzydłową“.

Czerwoni na Niemnie nie tylko dzielnie się bronią, ale i przeciwuderzają.

Jeżeli „grupa skrzydłowa“ pójdzie naprzód, może się dostać między odwody z Lidy, a tych cofających się z nad Niemna.

Na chwilę przystanęła „grupa skrzydłowa“. Lecz tylko na chwilę. Nasi nad Niemnem wyężdżają siły

i poczynają spychać czerwonych. Wali po starych fortach Grodna polska artylerja ciężka. Już wdarli się nasi do zachodnich przedmieść.

Widzą Rosjanie, że nie strzymają. Podpalili drewniane mosty na Niemnie. Kolejowy już dawno leży w gruzach, jeszcze przy odwrocie przez nas zniszczony, jak się patrzy.

Rosyjski pociąg pancerny, nie mając gdzie uciec, z rozpędem wali się z wysokiego nasypu w rzekę.

25-go września od świtu nasi lotnicy meldują: „3-a armja rosyjska w odwrocie na Lidę“.

Może już jej Litwini donieśli o swoim przypadku, że jak huragan przeleciała przez nich, obalając wszystko po drodze, „grupa skrzydłowa“. Już i jakaś brygada tej „grupy“ załazić poczyną na tyły dotąd mężnie broniącego się Grodna.

— Naprzód „grupa skrzydłowa!“ — przez radio daje Śmigły rozkaz.

3-a armja czerwona cofa się. Odchodzą jej tabory, wślad za nimi i pułki.

„Grupa skrzydłowa“, roztrącając po drodze z początku drobniejsze, a później coraz większe oddziały czerwonych, śpieszy na Lidę. Naprzód! Prędej! — woła jej dowódca. Prędej! Szybciej! — wołają dowódcy dywizyj, brygad i pułków. Żwawo! Prędej, chłopcy! — pokrzykują dowódcy bataljonów i kompanij.

Na Lidę! Na Lidę!

I wilki tak nie wyteżają sił, widząc zdobycz przed sobą, jak ci żołnierze „grupy skrzydłowej“. Wiedzą, że kto prędzej dojdzie do Lidy, ten będzie miał nielada uciechę.

Jeżeli wcześniej do miasta przyjdą czerwoni, cofający się z nad Niemną, wtenczas wyślizną się nam z uścisku.

Jeżeli my dojdziemy — dopieroż będzie radość.

— Na Lidę! — popędza żołnierz żołnierza.

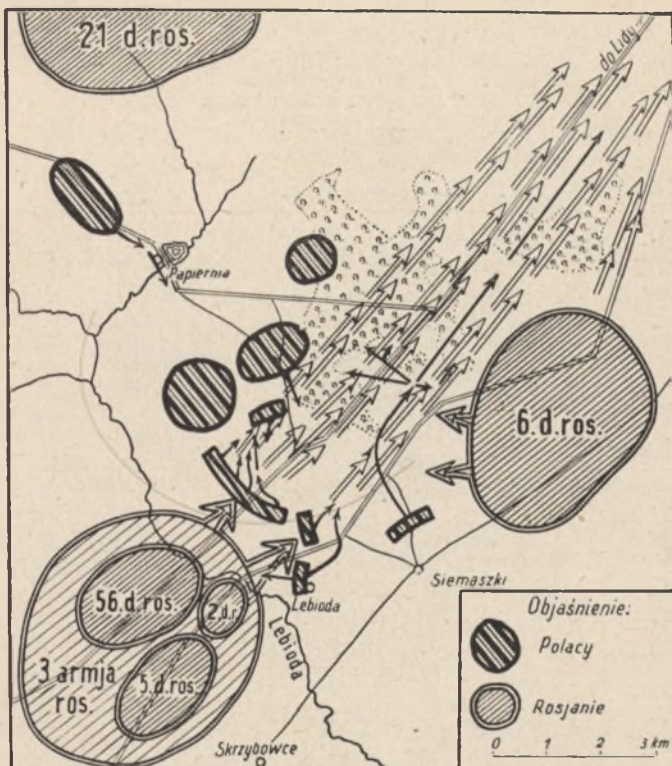
I pomyślcie, koledzy, jak czasem Bóg ludziom rozum odbiera. Dywizje rosyjskie, co stały w Lidzie w odwodach, zamiast rozejrzeć się na prawo i na lewo przed ruszeniem, poszły naoslep na Grodno. Poszły pomagać swoim — 3-ej armji. Spotkały się z nią po drodze. Zaczęła się pewnie pogwarka, wiadomo, jak się żołnierze spotkają — muszą się ugadać ze sobą.

Pewnie ci z 3-ej armji im powiedzieli, że przy cofaniu się z Grodna, wzdłuż Niemna, mieli przygodę. Taką wojenną przygodę. Do rzeki dobiegł wtenczas jeden nasz pułk. Jak zobaczyli Polacy uciekających czerwonych, nie wytrzymali. Pierwszy bataljon który się przeprawił, rzucił się na nich. Na całą dywizję, którą miał przed sobą. Dwa następne bataljony pozazdrościły pierwszemu i za nim.

Zaczęła się dobra bitwa. Czerwonych moc wielka. Zobaczyli żołnierze polscy, że tu nie przelewki. Niema innego wyjścia, tylko bić się do końca. Kto wpadnie w ręce Rosjan, wściekłych, że ich odcinają, ten żyw nie wyjdzie. Bije się więc nasz żołnierz do ostatniego tchu.

Przedostała się wreszcie przez nich 3-a armja, zostawiając mężnemu pułkowi „kopytkowe“ — tysiąc jeńców.

Wiele czasu zeszło czerwonym dywizjom na pogwarce spotkaniowej. Nie usłyszały przytem nadbiegającej naszej „grupy skrzydłowej“ i kiedy Rosjanie wreszcie zawrócili na wschód — oniemieli. Przed nimi stał już pierwszy z pułków tej grupy — dobre, zawzięte w bojach wojsko. Tęgo są zmachani nasi żołnierze, bo to po drodze wypadło im trochę roboty, rozbili jakąś brygadę bolszewicką, ale zobaczywszy



Bój w Krwawym Borze.

Oddziały polskie, nieliczne wobec dywizyj rosyjskich, umyślnie zostały tu narysowane w powiększeniu. Widzimy, jak zastąpiły one drogę Moskalom nad rzeczką Lebiadą i jak po zawziętym boju, odepchnięte samym ciężarem nieprzyjaciół, odleciały na boki. Widzimy, jak jakieś nasze kompanie (czarne strzałki), porwane przez mrowie Rosjan (białe strzałki), chcąc nie chcąc, wędrują z nimi przez noc ku Lidzie. A w Lidzie Moskale czeka nieszczęście: nowe oddziały polskie, co wczas nadbiegły z północy. (Patrz rysunek na stronie 120).

tu, przy rzece Lebiodzie, takie tłumy czerwonych — zapomnieli o zmęczeniu.

Stanął tedy ten nasz dobry pułk nad Lebiodą, na szosie w Skrzybowcach przed lasem, co odtąd się Krwawym Borem nazywa. — Proszę bardzo spróbować przejść, towarzysze czerwoni — mówią nasi.

A im, towarzyszom, wiadomo, nie do żartów. Widzą, źle się ma sprawa.

— Polacy na tyłach! krzyczą.

Byli wśród czerwonych ludzie męznego serca. Obejrzelisię naokoło z początku z rozpaczą w sercu, lecz widzą — mało Polaków. Rzucają się więc na nich. Jeden polski pułk, a ich cała armja. I krzyczą czerwoni:

— Zginiecie, Polacy!

Nie tak łatwo. Pierwsze natarcie nie udało się Rosjanom. Więc uderzają po raz drugi i trzeci.

Polacy stoją jak mur. A już im i drugi pułk dochodzi z pomocą.

Więc z czterech dywizyj tworzą czerwoni klin. Popędzają go komisarze. Z 10 tysięcy Rosjan na przestrzeni dwóch kilometrów, jak powódź, rzuca się na te nasze dwa mężne pułki. Jest już wieczór. Czerwoni idą prawie bez strzału. Nasi walą w nich gradem kul. Nic to. Gromady nieprzyjaciół rzucają się naoslep na nasze karabiny maszynowe. Bój idzie przez cztery godziny już tylko na bagnety i na pięści. Zamęt ogromny. Noc i las.

Po północy roztrącili czerwoni naszych. Zostawiając trupy i jeńców, do godziny 4-ej rano przez wyłom umykała ich artylerja i tabory.

Tak noc nad Lebiodą rzeczka, w Skrzybowcach, w Krwawym Borze, w ciężkim zeszła boju.

Jeżeli się jednak czerwoni cieszą, że uszli cało z resztą, to za prędko się cieszą.

Przecież Wódz Naczelny zapowiedział, że robota ma tu być lepsza, niż w sierpniu. Wtedy 3-a armja

czerwona wydostała się z pułapki, czyżby i teraz, we wrześniu, znów jej się udało?

Przecież osacza ją Śmigły, człowiek, o którego szczęśliwej ręce wszyscy wiedzą oddawna.

Nie ciesz się więc, 3-a armjo, przedwcześnie!



Zatrzymani nad Lebiodą, w Krwawym Borze, czerwoni dochodzą po godzinie 10-ej do Lidy.

O przerażenie! W Lidzie już są Polacy.

To lewa dywizja „grupy skrzydłowej“ od północnego wschodu odcina im ponownie drogę.

Dowódca 3-ej armji czerwonej uciekł z Lidy w popłochu. Armja jest więc bez wodza.

Pierwsze nadchodzące oddziały rosyjskie dzielnie uderzają na miasto. Odrzucają ich nasi bagnetem. Lida przechodzi z rąk do rąk. Na przedwieczер Polacy znów ją trzymają.

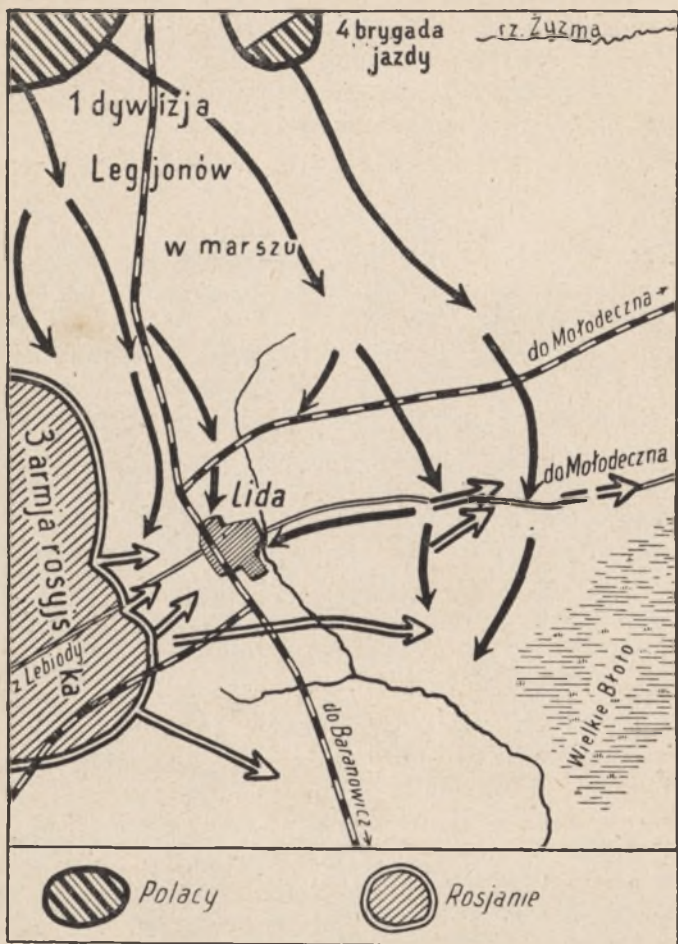
Naradzają się dowódcy dywizyj rosyjskich. Co robić? — „Jest nas — mówią między sobą — choć podskubanych, ale pięć dywizyj. Przecież nie może być tu aż tyle Polaków. Trzeba się przebijać. Śmiałym szczęście sprzyja. Naprzód!“

Uporządkowali pułki i przed wieczorem, o godzinie 18-ej, nacierają po raz drugi.

Powitani straszliwym ogniem naszej piechoty i artylerji — przygaśli i ani kroku dalej.

Może lepiej pójdzie w ciemności? Wieczorem, o godzinie 20-ej, znów próbują dwiema dywizjami, co jeszcze są w ręku dowódców. Nic z tego. Przeciwuuderzenie Polaków druzgoce ich zupełnie.

I kiedy nadeszła noc, to już nie było na świecie 3-ej armji czerwonej. Po polach i lasach płątały się tylko pozbawione dowództwa oddziały, które nie wiedziały, co ze sobą począć.



Bój o Lidę.

Po boju w Krwawym Borze, 3-a armia rosyjska ucieka na Lidę. Tu z północy spadają na nią i odcinają jej drogę Polacy (czarne strzałki). Rosjanie (białe strzałki) ratują się jak mogą. Tylko ci nieliczni z nich, co uciekali na południowy wschód, na Wielkie Błoto, umknęli. Dzień 28 września, dzień boju w Lidzie, jest pięknym dniem dla wojska polskiego.

Jedna dywizja rosyjska, widząc w przerażeniu odciętą drogę odwrotu, morduje swoich komisarzy i poddaje się niemal w całości.

Uznojony żołnierz polski wie, że dopiero teraz ma prawo zdjąć hełm i otrzeć pot z czoła.

Tłumy jeńców stoją bezbronne i przyglądają mu się ze strachem i czcią.

10 tysięcy Rosjan jest w niewoli.

Tak się kończy dzień 28 września. Piękny dzień dla naszego wojska.

Niedobitki 3-ej armji nie wiedzą, co począć ze sobą. Już im się strony świata pomyliły. Nikt nie wie, gdzie są swoi, a gdzie Polacy. Jedni uciekają w tę stronę, skąd inni nadchodzą.

Pogrom! Ratujcie się, kto może!

Wydostali się jedynie ci, co umykali na południowy wschód i to tak prędko, że ich nasza jazda nie wyłapała.

29-go rano Wódz Naczelny z generałem Śmigłym, dowódcą 2-ej armji, przyjeżdża do Lidy. Dziękuje żołnierzom za piękny bój, za to, co już zrobili. Ale to jeszcze nie wszystko. Śmigły powtarza rozkaz Naczelnego Wodza swoim dywizjom.

— To nic, że jesteście znużeni. Naprzód! Ścigać do upadłego, ostatnim wysiłkiem. Od szybkości waszego pościgu zależy już nie los bitwy, ale los wojny. Nasze zwycięstwo przyspiesza pokój. Wierzę, że dowódcy uczynią wszystko, co leży w ich mocy, żeby dokonać tego, czego chce Wódz Naczelny.

I dywizje rzucają się w pościg. Pościg bez wytchnienia. Jeszcze tu i ówdzie, przed Nowogródkiem, próbują się czerwoni im oprzeć, lecz obaleni jednym ciosem — uciekają.

3-go października dochodzą nasi do Stołpców, patrole widzą już wieże Mińska.

Czerwoni uciekają. Jeszcze przed Mołodecznem próbowali się zaprzec, lecz raz jeszcze mocno dostali.

Niema już armij czerwonych.

Na dzisiejszej granicy wschodniej Polski Wódz Naczelny zatrzymuje pościg. Nad Dźwiny korytem...

Las został dorąbany do końca.

2-a armja generała Śmigłego wypełniła swe zadanie.

Liczy zdobycz. 20 tysięcy jeńców, samego frontowego żołnierza, bo taboryci zdążyli zemknąć, i 100 armat.

Tak Śmigły kończy ostatnią kampanję wojny polsko-rosyjskiej.

12 października nieprzyjaciel podpisuje podyktowane przez Wodza Naczelnego warunki rozejmu, a w krótkim czasie i pokój.

Na granicy wschodniej Polski, wyznaczonej bagnem mężnych żołnierzy polskich, prowadzonych przez Wielkiego Wodza, geometra poczyna ustawiać nowe słupy graniczne.

Skończone boje. Na kwaterach, w ubogich wioskach, wyniszczonych wojną, żołnierze rozmawiają o radosnej chwili pokoju, kiedy do domów powrócą. Czekają na nich matki, żony, kochanki, dzieci.

Czytają rozkazy wodzów.

Dowódca 2-ej armji „na wieczną pamiątkę i sławę“ wylicza czyny i prace żołnierskie. Mówi:

„Działania 2-ej armji skończyły się wielkiem zwycięstwem“.

„Od Bugu i Wieprza przez Niemen, po Święciany, Wilejkę, Mołodeczno przemaszerował w ciężkim trudzie bojowym żołnierz 2-ej armji, druzgocąc przeciwnika.“

„... od Bugu i Wieprza po Niemen — to krwawy odwet, błyskawiczne oczyszczenie ziemi ojczystej od barbarzyńskiej niszczycielskiej hordy bolszewickiej, to złamanie gwałtownego rozpędu wroga... Bolszewickie parcie naprzód zmieniło się... w ucieczkę.“

„... 100 armat, 20 000 jeńców — taka jest zdobycz 2-ej armji w pościgu z nad Wieprza po Białystok.“

Później:

„...my, zwycięzcy w bitwie, przygotowujemy się, żeby stać się zwycięzcami w wojnie.“

„Wróg wie o tem, ściga odwody, żeby nam wydrzeć zwycięstwo...“

„W ciągu kilku dni sroży się nad Niemnem bój — jeden z najkrwawszych i najzaciętszych w naszej wojnie.“

„... Kiedy bój ten osiągnął szczyt napięcia, nastąpił nasz cios na tyły wroga.“

„... nieprzyjaciel, mimo rozpaczliwych wysiłków, nie mógł przebić sobie drogi na wschód i został odrzucony na południe.“

„W tych bojach zniszczyła 2-a armja przeciwnika, wdeptała go w zbroczoną krwią ziemię.“

„Wzięliśmy kilkanaście tysięcy jeńców i znów prawie 100 armat.“

„Trzeba było jednak dobić wroga... Wzywał nas głos naszych braci kresowych.“

„... Dywizje w ogromnych marszach i bojach spadają na nieprzyjaciela.“

„2-a armja spełniła zadanie, dane jej przez Naczelnego Wodza. Spełniła wiernie swój obowiązek względem Narodu.“

„Stwierdził to Naczelnny Wódz — stwierdził Naród.“
Wódz Naczelnny, Józef Piłsudski, mówi do żołnierzy:

„Żołnierze! Zrobiliście Polskę mocną, pewną siebie i swobodną. Możecie być dumni i zadowoleni ze spełnionego obowiązku.“

„Nie na próżno, nie na marne poszedł wasz trud.“

„Nieraz, żołnierze, łzy cisnęły mi się do oczu, gdy widział wśród szeregów wojsk, prowadzonych przeze mnie, wasze bose, pokaleczone stopy, które już przemierzyły niezmierne przestrzenie, gdy widział brudne łachmany, pokrywające Wasze ciało, gdy musiał obrywać Wasze skromne rące żołnierskie i żądać często, byście o głodzie i chłodzie szli do krwawego boju. Praca była ciężka, a że była rzetelna, zaświadczą o tem tysiące mogił i krzyży żołnierskich, rozsianych po ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, od dalekiego Dniepru do rodzinnej Wisły“.

„Za pracę i wytrwałość, za ofiarę i krew, za odwagę i śmiałość dziękuję Wam, żołnierze, w imieniu całego Narodu i Ojczyzny naszej.“

Taki jest koniec opowieści o pracy wojennej generała Śmigłego.

Widzimy, jak z małej garstki ludzi, których całem uzbrojeniem było kilka karabinów, wyrosło po sześciu latach wojny miljonowe wojsko. Wojsko to zatrzymało najazd ze wschodu, rozbiło armje rosyjskie i obroniło państwo polskie, powstałe do życia.

Widzimy wśród twórców tego wojska, jako jednego z najbliższych towarzyszy Józefa Piłsudskiego, człowieka, który objął po Nim dziedzictwo i jest dzisiaj naszym Wodzem Naczelnym.

Widzimy, że nie kto inny, a on był dowódcą pierwszego bataljonu wojska polskiego w 1914 roku i 1-go pułku piechoty Legjonów w 1915—1917 roku.

Widzimy, że kiedy Legjony idą w rozsypkę, Komentant Piłsudski z szefem swego sztabu są uwięzieni przez Niemców, wówczas tajemnem wojskiem Polski dowodzi ten sam człowiek.

Widzimy, że kiedy Polska powstaje, znów on na czele 1-ej dywizji piechoty Legjonów wyrusza w pole. Od roku 1918 po rok 1920 dowodzi poza tem 3-ą armją i frontem południowym, prowadzi „grupę uderzeniową” z nad Wieprza i kończy wojnę, jako dowódca 2-ej armji, w ostatniej wielkiej bitwie nad Niemnem.

Widzimy, że żołnierz ten przez siedem lat wojny, rozpoczętej przez niego w imię Polski, **ani na chwilę nie schodzi z pola walki.**

Widzimy też, że jemu, a nie komu innemu, zostawił na opiece wojsko Rzeczypospolitej Ten, który tę Rzeczypospolitą stworzył, to jest Marszałek Józef Piłsudski.

I dlatego

generał dywizji

Śmigły-Rydz Edward

jest dzisiaj Naczelnym Wodzem Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej.

Czytajcie opowieści o nim żołnierze-przyjaciele.

Pamiętajcie, że wojnę prowadzą wodzowie, żołnierze się tylko biją. Z czynów wielkich wodzów i męstwa żołnierzy urasta wielkość Ojczyzny.



SPIS ROZDZIAŁÓW.

W zaraniu	5
W pierwszej brygadzie	8
„Mój uczeń — Śmigły...”	22
„Dzięki Ci, Matko, za Wilno...”	33
Dalekie drogi	54
Groźna „Zima”	55
Szlakiem Chrobrego	71
3-a armja w odwrocie	81
Pogrom	95
Za Niemen	109



600 —

787709/87

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 320727



000-320727-00-0

